Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

DANES PICTA .COM

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

DANES PICTA .COM

C M Y K

B 17 18 19

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15

R G B WH GR BL

Grey Scale #13



ADAM STODOR

NA PIERWSZYM ODCINKU

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU
REDAKTOR I WYDAWCA IG. PŁAŻEWSKI

WARUNKI PRENUMERATY

z przesyłką pocztową:

	a) Wydanie luksusowe na grubym, wykwintnym papierze		b) Wydanie zwykłe	
	w brosz.	w opraw.	w brosz.	w opraw.
Kwartalnie .	zł. 9.90	zł. 17.10	zł. 6.50	zł. 9.75
Półrocznie .	„ 19.50	„ 34.—	„ 12.50	„ 19.—
Rocznie . . .	„ 38.—	„ 67.—	„ 24.—	„ 37.—

TOM 28
OG. ZBIORU T. 127
ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

ADAM STODOR

NA PIERWSZYM ODCINKU

WRAŻENIA i SZKICE Z 1918 ROKU

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
1928

150351

Okładkę projektował art.-mal. Henryk Nowina-Czerny

Tłoczono w Zakładach Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.

B. W.
KRAKÓW

Bibljoteka ... Pol.
13475
1
im. F. Dzierżyńskiego

Dziś, kiedy spokój dokoła i cisza,
gdy syk kul ucichł i gromy armatnie,
a wróg w rozbiciu, sam chwycony w matnię,
mózg chłonie przeszłość, jako obraz klisza.

Ruch walki, zmagań w rzeźbę się układa,
co wciela w niebie w połączenie zgodne
dumę i radość, że me dnie zawodne
nie kończy chwila bez wartości, blada.

Boś mi wybuchnął gejzerem jasności
czasie odpornej walki, czasie znojów,
poznałem rwanie kajdan, święto bojów,
wcielanie w czyny Ojczyzny miłości!

I przeto wiem ja, że po dni mych kraniec
śnić mi się będziesz przedrogi walk czasie,
jawiąc się duszy mej w przedziwnej krasie,
co mnie porwała na walczących szaniec! — —

Z WŁASNYCH PRZEŻYĆ

B. W.
KRAKÓW

Z PRZEMYŚLA DO LWOWA.

Było to 31 października 1918 r. O trzy na ósmą rano wyjechałem ze Lwowa do Przemyśla w odwiedziny do moich staruszków rodziców. Dzień był przenikliwie słotny, co spowodowało, że na dworzec, (tramwaj był jeszcze w objęciach Morfeusza), przy ówczesnych środkowo-azjatyckich nieporządkach na ulicach Lwigrodu, (którym to tradycjom Lwów dotychczas jest wierny), dotarłem nietylko przemoknięty doszczętnie, ale obłocony i z przemoczonem zupełnie obuwiem. Brzydki, słotny i leniwy był to dzień, do czego się przystosowując pociąg do Przemyśla, o wagonach nielitościwie brudnych, wlókł się powoli, zatrzymywał się nieraz godzinami na stacjach, jakby i on uległ zarazie anarchji i nieporządku, coraz bardziej wnikających w ustrój państwowy Austrji. Dopiero dobrze po południu dowlokłem się do Przemyśla. Tu także przeraźliwa słota, tak, że po raz drugi przemokłem do nitki, zanim na piechotę dostałem się do „dworku Jagiełły" moich rodziców, położonego na Zasaniu, przy ul. Popielów.

Wobec tego dwukrotnego przemoknięcia, kataru niemożliwego, jakiego się nabawiłem w czasie tej „podróży", oraz wobec niedawno przebytej „hiszpanki", co wskazywało zwracać uwagę na możliwość silnego przeziębienia, przez cały czas, aż do chwili zamierzonego powrotu do Lwowa, nie wychodziłem z domu mych rodziców, tem bardziej, że ci wpływali na mnie w tym kierunku.

W powrotną drogę wyruszyłem następnego dnia, pierwszego listopada, około siódmej rano.

Ale o ile podróż do Przemyśla, z powodu ulewnej słoty, była arcyniemiłą, o tyle powrót do Lwowa okazał się niebawem wręcz niemożliwym.

Już wyszedłszy z bocznej uliczki na główny trakt Jarosławski, zdziwiłem się niepomiernie. U wejść do koszar kupiły się gromadki ludzi, przypatrując się ciekawie wychodzącym z tychże grupami, lub pojedyńczo żołnierzom z karabinami, z pełnymi plecakami na barkach, z walizkami wojskowemi, zdążającym ku prowizorycznemu mostowi na Sanie, by przeszedłszy go udać się na dworzec. To samo zauważyłem przy obszernych zabudowaniach barakowych, gdzie mieścił się „obóz jeńców". Jeńcy rosyjscy opuszczali „obóz" zupełnie swobodnie, nie zatrzymywani wcale przez warty, i również szli w stronę dworca. Odrazu poznać można było, że wojsko, nie pytając się wcale o zezwolenie przełożonych, przypatrujących się wszystkiemu bezradnie, albo łączących się z plebsem żołnierskim, urządziło masowo „demobilizację" i postanowiło powrócić do domowych pieleszy. A rów-

nocześnie widok tego wszystkiego uświadamiał, że Austrja, jako państwo, nagle istnieć przestała, że rozpoczął się raptownie, tak troskliwie przygotowywany przez półidjotycznych jej polityków, w guście hr. Czernina, zupełny rozkład jej państwowości.

Doszedłszy do mostu na Sanie, spostrzegłem objaw jeszcze charakterystyczniejszy. U wejścia na most, a raczej na szeroką kładkę na pontonach, stały warty wojskowe, i to studenci lub cywilni, uzbrojeni w karabiny, albo także byli austrjaccy żołnierze, z białoczerwonymi kokardkami u austrjackich, wojskowych czapek. Widok ten wywarł na mnie niezwykle silne, a zarazem nad wyraz miłe wrażenie. A więc Polacy w chwili tak ważnej nie zaniedbali swego obowiązku, lecz z miejsca chwycili władzę w swe ręce. Żołnierzy tej utworzonej spontanicznie armji polskiej w samem śródmieściu widziało się coraz więcej. Utrzymywali oni porządek, obsadzili wszystkie budynki wojskowe i państwowe, i widać było, że Polacy rządzą miastem, mimo nielicznej zresztą garstki osobników, przystrojonych w „ukraińskie", lub „sjonistyczne" kokardki.

Nietylko utrzymywanie porządku zajmowało tych „żołnierzy" polskich. U wejścia na dworzec silne warty polskie zatrzymywały „zdemobilizowanych" żołnierzy, odbierały im broń i konfiskowały przedmioty zrabowane, na pożegnanie, w magazynach wojskowych. Po dokładnej rewizji osobnika takiego wpuszczano na dworzec. Na dworcu również utrzymywali porządek żołnierze polscy, którzy z pochwały go-

dną energją, obsadzili nietylko cały dworzec, ale także magazyny, warsztaty i ogrzewalnię kolejową. Aż się serce radowało, że Polacy tak dobrze i składnie zwinęli się w tej niezwykłej chwili i owładnęli Przemyślem, nie dając się ubiec podstępnym „Ukraińcom"!

W przepełnione szczerą radością serce moje uderzył nagle grom. Na dworcu dowiedziałem się, że pociąg do Lwowa wcale nie dochodzi i niewiadomo, kiedy to nastąpić będzie mogło, a to z tego powodu, że „Ukraińcy" zajęli Lwów. Po radości nastąpił smutek, po uczuciu dumy dojmujący wstyd i oburzenie. Jakto?! A więc Polacy lwowscy dozwolili „Ukraińcom" owładnąć miastem? Nie dająca się opisać depresja poczęła wstrząsać mną całym, tem bardziej, że w Przemyślu nie wiedziano nic o tem jak podstępnie rząd austrjacki dopomógł „Ukraińcom" do owładnięcia Lwowem.

Ale depresja depresją, a mus musem. Powróciłem z dworca do domu rodziców, z silnem postanowieniem jak najszybszego powrotu do Lwowa, choćby mi na piechotę doń dojść trzeba było. Przecież we Lwowie pozostawiłem moją rodzinę i nie wiedziałem, co się z nią teraz dzieje. Ale do Lwowa zdołałem wyjechać dopiero drugiego listopada, pierwszym pociągiem, który w tę stronę odchodził.

A warto słów kilka poświęcić tej powrotnej drodze.

Pociąg złożony był z samych wagonów dla „sześciu koni, lub czterdziestu ludzi". Tych ludzi, prawie wyłącznie „zdemobilizowanych" żołnierzy i jeńców wojennych, było w każdym

wagonie tyle, ile się tylko w nich pomieścić mogło, reszta zaś zajęła dachy wagonów, tak, że cały pociąg sprawiał wrażenie jakiegoś niepomiernie długiego, ruchliwego a rozkrzyczanego, najeżonego tysiącem głów ludzkich płazu, węża czy potwora, o ćwierćkilometrowem cielsku. Rozglądnąwszy się w ciemnościach wagonu, do którego dostałem się przy pomocy wszystkich dostępnych mi sztuk atletycznych, doznałem uczucia, że znajduję się w którejś z ubikacji wieży Babel. Wszystkie narodowości, mowy, wyznania, mundury, szarże, znalazłem tu zmieszane w niebywałym, rozwrzeszczanym chaosie. A w samym kąciku wagonu, siedzącego na jakiejś walizce, spostrzegłem dyrektora gimnazjum ze Lwowa, radcę Dropiowskiego, powracającego w ten arcyniemiły sposób z rodziną swą z Małopolski zachodniej do Lwowa. Nikt z zamierzających jechać nie wiedział, kiedy ten pociąg ruszy z miejsca i jak daleko zajedzie. Tysiące najniedorzeczniejszych pytań i jeszcze bardziej nierozumnych odpowiedzi krzyżowało się w powietrzu. Jakiś „feldfebel" austrjacki (rzecz jasna, że rachunkowy), przynajmniej sto razy zapytywał mnie:

— Jak pan miśli, dokąd ten *zug* zajedzie?

Nareszcie stękając boleściwie pociąg pomalutku ruszył z miejsca i żółwim ruchem wlec się począł ku Medyce. Po jakiejś półgodzinnej jeździe nagle rozległy się wrzaski żołnierzy w wagonach: — Zamykać, zamykać! Karabin maszynowy! — Zaczęto na gwałt zasuwać drzwi wagonu towarowego. Wśród wrzasku: — „kłaść się!" — przeważna część obecnych (przede-

wszystkiem żołnierze), padła plackiem na podłogę wagonu, pociąg począł gwizdać przeraźliwie, a następnie szybciej nieco poruszać się, nareszcie po dobrej chwili odważono się nieco odsunąć zapory wagonu i dopuścić nieco światła do wnętrza. Dowiedzieliśmy się niebawem, że „Ukraińcy", jak zwykle kulturalni, ostrzeliwali pociąg z karabinów maszynowych. Skutkiem tego zabito w wagonie, tuż przed nami, trzech jadących, kilku zraniono, a wielu żołnierzy pokaleczyło się, zeskakując w czasie strzelaniny z dachów wagonów, na których się byli umieścili.

Podobnie miłe urozmaicenia przytrafiły się pociągowi naszemu jeszcze parę razy po drodze, nareszcie o zmroku dostaliśmy się do Zimnej Wody. Tu utknęliśmy, albowiem pociąg dalej nie mógł jechać, gdyż dworzec lwowski był w ręku „Ukraińców", którzy, jak wieść niosła, strzelali zeń do zbliżających się z karabinów maszynowych. Wobec tego przeważna część jadących postanowiła przeczekać do rana w Zimnej Wodzie, a na drugi dzień starać się przedostać do Lwowa. *Zniecierpliwiony i bardzo zaniepokojony*, co się tam dzieje z rodziną moją we Lwowie, przyłączyłem się do kilku odważniejszych i bardziej zdecydowanych konduktorów kolejowych, którzy postanowili spróbować szczęścia i mimo nocy dostać się do domów swoich. Może kiedyś opiszę dokładniej tę niezwykłą, niemal niesamowitą wędrówkę, warta ona tego. Dziś wystarczy zanotować, że najpierw przy świetle konduktorskich latarek torem, a następnie przy zgaszonem świetle, wśród egipskich ciemności torami, rowami i wertepami, pełnymi błota i rozmokłej

gliny, kilkakrotnie ostrzeliwani od dworca przez „herojów“ z karabinów maszynowych, po sześciogodzinnej, dantejskiej iście wędrówce, zabłoceni, osmarowani gliną i przemoczeni od stóp do głowy, dotarliśmy wreszcie do grodeckiej rogatki, a stąd chyłkiem, kołując najmniej uczęszczanemi uliczkami, dotarliśmy do „Sokoła II“, przy ulicy Szeptyckiej.

Tutaj to zatrzymała nas pierwsza patrol. Była to patrol polska. Dwaj studenci drugiej szkoły realnej (obecnie gimnazjum XI), a zarazem uczniowie moi. Na szczęście bowiem ta część Lwowa była w ręku polskiem, to też niebawem dzwoniłem niecierpliwie, późną nocą, do bramy kamienicy, w której mieszkałem, przy ulicy Modrzejewskiej.

Równocześnie, mimo zmęczenia i arcyniemiłych trudów powrotnej drogi, byłem niezmiernie zadowolony, że jednakże dotarłem do swoich, jak to sobie postanowiłem.

Biblioteka Wojsk. Akad. Techn.
im. F. Dzierżyńskiego

JAK WZIĘLIŚMY TRZY KARABINY MASZYNOWE.

Po powrocie z Przemyśla, dnia 4 listopada, postanowiłem po krótkiej a decydującej konferencyjce z młodszym dobrze kolegą moim, profesorem Marjanem Wolańczykiem[1]), zamiast pracować dalej w „Komisji werbunkowej", utworzonej przed dwoma dniami przez „Komitet Obywatelski" dzielnicy VI, na terenie „polskiego" Lwowa, zwerbować samego siebie, jako ochotnika (liczyłem w 1918 r. już 47 „wiosen"), do szeregów, walczących z „herojami ukraińskimi". Początkowo pragnęliśmy utworzyć pod wodzą podporucznika byłej armji austrjackiej, a rodzonego brata profesora Wolańczyka, oddział „granaciarzy". „Granaciar-

---

[1]) O ile mi wiadomo, udział z bronią w ręku brali w obronie Lwowa następujący profesorowie gimnazjów lwowskich: Adam Cehuk-Stodor, Józef Fryderyk Gawlikowski (obecny redaktor „Bibl. Dzieł Wyborowych"), Marjan Wolańczyk, dr. Marceli Prószyński, obecny poseł sejmowy i kilku innych. Pokaźna zato ilość profesorów zajęta była w 1918 r. przy „dyplomacji" i „aprowizacji".

stwa" tego wyuczył się był świetnie podporucznik Wolańczyk na froncie włoskim, gdzie walcząc czas długi, wyspecjalizował się w „granatach ręcznych". Udaliśmy się nawet w tym celu do głównej komendy polskiej, ale nie zastawszy odnośnego komendanta, postanowiliśmy nie zwlekać dłużej i dlatego we trzech pospieszyliśmy do komendy, mieszczącej się w „Domu technickim". Tu przyjęto ochotnie nasze zgłoszenie się, uzbrojono każdego z nas w karabin manlicherowski i zaopatrzono obficie w naboje. Po kolacji w „Domu techników" posłano nas do sąsiedniego niemal budynku, męskiego seminarjum nauczycielskiego, gdzie, przydzieleni do tworzącej się „sekcji", oddani zostaliśmy pod komendę podporucznika Wolańczyka. Po dwugodzinnem czekaniu polecono całej „sekcji" udać się późnym wieczorem na odcinek rotmistrza Dzieduszyckiego na Wólkę.

Tak to, ni stąd ni zowąd, odrazu dostałem się na odcinek, pozostający pod silnym ogniem nieprzyjacielskim i wojowałem, wbrew chęci ojca mego, który przed dwudziestu siedmiu laty, przy pomocy stosunków swoich „brzęczącym sposobem" od służby w armji austrjackiej mnie uwolnił, a w której również nie służyłem w czasie Wielkiej Wojny, gdyż, jako leciwy już profesor od służby byłem „reklamowany" przez c. k. Radę szkolną krajową.

Widocznie jednak wojaczka sądzoną mi była i snać prorokiem byłem ongi, gdy żonie mej, narzekającej pewnego razu na zbyt długie trwanie wojny, zgodnie zresztą z wszystkimi „wiernymi ludami" nieboszczki Austrji, oświadczy-

łem w przystępie dobrego humoru, że wojna wtedy się skończy, gdy ja „będę na froncie". Nie przypuszczałem jednakże wcale filuternie prorokując, że front ten znajdować się będzie tuż pod Lwowem, na Wólce, i że zwróconym będzie przeciw „ukraińskim herojom".

Nie należy zaś sądzić, że nasz odmarsz na front był sprawą tak łatwą i arcyprzyjemną. Przedewszystkiem „sekcja" nasza musiała zabrać ze sobą wieczerzę dla całej załogi odcinka, po drugie było już piekielnie ciemno, gdyśmy do koszar wuleckich wędrowali. Zestawiając te dwie okoliczności, łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądało dwu profesorów, ja i Wolańczyk, dźwigających jedną ręką karabin, drugą zaś za ucho olbrzymi sagan, wypełniony po sam wierzch kapuśniakiem, jak wyglądał asystent drugiej szkoły realnej, Łuczyński, w lakierkach i futerku o selskinowym kołnierzu, jakby szedł flirtować po „dwunastówce", a zamiast tego piastował teraz pod każdą pachą po kilka bochenków chleba, jak wyglądali inni członkowie „sekcji", przeważnie moi uczniowie z drugiej szkoły realnej, z których każdy dźwigał jakąś część prowiantów. Dodajmy, że pochód ten odbywał się wśród egipskich ciemności, leśną drużyną, pełną wyboisk, sterczących kamieni i gęstych krzewów kolczastych. Ale nagrodą trudów naszych była radość z jaką powitano nas (a raczej nasze prowianty), w pewnym niskim domku, ukrytym wśród drzew, gdzie przy ogniu płonącym pod kuchnią znaleźliśmy kilkunastu towarzyszy walki na naszym odcinku. Studenci, doświadczeni legjoniści i cywile, nagle w synów Marsa prze-

dzierżgnięci, wszyscy wesoło a niezbyt głośno, z powodu, że pozycja nasza była tuż przed frontem „ukraińskim", gwarzyli o wojennych wypadkach trzech dni ostatnich, tak długo bowiem trwała już walka na tym odcinku.

Nie ujdzie snać nikt przeznaczeniu swemu, a im później to się stanie, w tem szybszem zwyczajnie zdarzenia odbywają się tempie, jakby w kilku godzinach skondensować się miało to, co trwać powinno było miesiące. Ledwie wyprostowaliśmy grzbiety po przydźwiganiu kotła z kapuśniakiem, a oto przybiega do cichej chałupy nakaz zluzowania placówek. Z ust podporucznika Wolańczyka pada rozkaz, — i oto dwaj profesorowie wędruja na placówkę, prowadzeni przez plutonowego. Idziemy wśród krzaków i cierni, potem drogą wólecką, a potem zbaczamy na lewo na jakaś łączkę. Kolegę mego umieszcza plutonowy gdzieś pod jakimś płotem, rysującym się zaledwie w ciemnościach, mnie zaś na środku łączki, i nakazuje nam ciągle obserwować, co się przed nami dzieje i w razie ukazania sie „ukraińskich" patroli, zaraz meldować placówkom, stojącym w pewnem za nami oddaleniu. A widok przed oczyma mymi rysuje się wśród mroku nocy iście mistycznie i fantastycznie. Po lewej stronie jakiś płot, kędy w mrokach zatonął kolega Wolańczyk, przedemną w oddali jakieś drzewa i krzewy, po prawej białawo rysują się ściany jakiegoś wielkiego budynku. A wszystko to spowite w ciemń nocy i mroki zacierające kształty i nadające w podnieconej fantazji ruch, nawet przedmiotom martwym. Dopiero po dłuższym czasie oko

przystosowuje się do mroków i zaczyna nieco lepiej rozeznawać niewyraźne, fantastyczne kształty.

Ale dotąd nic jeszcze nadzwyczajnego, tylko to ciągłe baczenie na lewo, prawo i przed siebie nużyć i nudzić poczyna. Czas wlecze się żółwim krokiem, a wiemy, że na placówce tkwić będziemy godzin cztery.

Niedługo jednak monotonność placówki przerywa rzecz dotąd mi nieznana. W dali zaczynają się odzywać jakieś strzały pojedyńcze, to znów salwy i oto powietrze dokoła nas przeszywać poczyna bzyk kul coraz częstszy, coraz natrętniejszy. W pierwszych chwilach, mimowoli, nerwowo a głupio, usłyszawszy osi bzyk kuli, stojący ogląda się za siebie, nie wiedząc o tem, że bzykające kule lecą parę metrów górą ponad człowiekiem, oraz o tem, że trafiony nią nie ma wcale czasu na to, by bzyk jej usłyszeć... chyba na drugim Brzegu, gdyż bzyk kuli słyszalnym jest tylko wtedy, gdy ona górą przelatuje. A bzykanie to dziwne jest i rozmaite bardzo. Niektóre kule bzyczą ostro, nienawistnie, są zaś i sympatyczne, śpiewające, „muzykalne", co lecąc wyśpiewują jakąś dziwną, określić się nie dającą melodję.

Tylko, że tych bzyków i świstów i gwizdów coraz więcej, coraz więcej... Drażni to dziwnie nerwy i staje się nieznośne... Stoję mimo to nieruchomo, oparty o karabin i rozglądam się bacznie... Coś przede mną w półmroku nocnym nagle czernieć i podsuwać się poczyna... Czekam chwilę w naprężeniu, z palcem u cyngla, by krzyknąć: — Kto idzie? — i zapytać o hasło.

(A hasło wewnętrzne mieliśmy podówczas poważnie wesołe; bo: — Warszawa-Walerka). Przedmiot czarny zbliża się powoli, niedbale... Wpatruję się... To koń, jeden z koni, które wypuszczone na wolność ze „szpitala dla koni", w czasach austrjackich pomieszczonego w koszarach na Wólce, rozbiegły się po okolicznych, pastwiskach i pasą się beztroskliwie dniem i nocą, melancholijnie, mimo poświstu kul, na skąpej, listopadowej trawinie...

Wtem, tuż za sobą słyszę szept niemal: — Obywatelu, połóżcie się na ziemi. Stać niebezpiecznie, kule. — Oglądam się. To troskliwy plutonowy mój, wpółzgięty ku ziemi, przestrzega mnie niedoświadczonego „żołnierza", że należy się w leżącej pozycji „zadekować".

Uwaga jego była aż nadto słuszną, gdyż niebawem nastąpiła bardzo niepożądana zmiana. Ustał łopot i huk salw i głosy pojedyńczych strzałów, a po chwili rozległ się daleki warkot karabinu maszynowego. Kule zaczęły najpierw padać rzęsiściej w oddaleniu kilkudziesięciu kroków przed naszą placówką, słyszałem nawet, że kilka razy rwały i łamały płot po lewej stronie, ale wnet nastąpiły chwile osobliwie nieprzyjemne, gdy rwały ziemię o kilkanaście kroków przede mną, leżącym na ziemi w dziwnem zdenerwowaniu.

Ta naprężająca sytuacja zmieniała się kilkakrotnie, to słabnąc, to silniejąc. „Ukraińcy", zdaniem plutonowego, „macali", by odkryć nasze pozycje. Kilkakrotnie meldowałem plutonowemu moje spostrzeżenia, ale tenże dziwnie obojętnie powtarzał: — Macają, — i polecał czuwać da-

lej. Obojętność ta była jednak, zdaje się, pozorną, zapewne zameldował on co należy i gdzie należy, gdyż niebawem rozległ się poza plecami naszemi bębniący a donośny warkot karabinu maszynowego. To podporucznik Pragłowski, komendant naszego jedynego karabinu maszynowego, rosyjskiego typu, jako człowiek grzeczny, począł w rewanżu „obmacywać" pozycje „Ukraińców". Musiał to czynić umiejętnie. Kilka takich warkotliwych bębnień, a niebawem nasilenie strzałów i salw ze strony „Ukraińców" słabnąć poczęło, niebawem zaś strzały ich ustały prawie zupełnie. Widocznie przekonali się, że ta strona pozycji naszych nie nadaje się do ich ataku.

Niebawem zluzowano nas z posterunku. Popatrzyłem na zegarek. Na placówce byliśmy równo godzin cztery. Jak dla nowicjuszów w rzemiośle wojennem pierwsza ta lekcja trwała dość długo. Z ulgą, nie dającą się opisać, znalazłem się wraz z moim towarzyszem znowu w zaciszy, pod dachem chłopskiej chaty. Współtowarzysze broni po części spali już siedząc, z karabinami przy sobie, inni znów zjadali własne zapasy, wyciągając je z kieszeni ubrań lub mundurów, lub też gwarzyli półgłosem, wypowiadając swe domysły o zamiarach i sile „ukraińców", lub też dowcipkując dla zabicia czasu.

Po kilku godzinach przerwy, będącej wielką ulgą dla nerwów, napoły senny usłyszałem znów rozkaz, że mam iść na placówkę. I oto znalazłem się znów w tem samem miejscu i znów w towarzystwie profesora Wolańczyka. Pierwsze zmaganie się nocy z nastąpić mającym świtem.

Ciemnoszarych mgieł daleko więcej, aniżeli poprzednio, skutkiem czego zarysy drzew i krzewów stają się coraz bardziej niepewne. Od czasu do czasu bzykają lub gwiżdżą kule, czasem śpiewają te „muzykalne". Ale czy to mniej strzelają, czy też przyzwyczajenie podczas poprzedniej czterogodzinnej placówki zrobiło swoje, nie jest to już tak dokuczliwe i nerwy targające. Widocznie do wszystkiego przyzwyczaić się można, a więc i do kul „ukraińskich". A nerwy moje na tyle się już uspokoiły, że w coraz jaśniejszym świcie dostrzegam wyraźnie i dokładnie drzewa i krzewy przed sobą, widzę po lewej stronie biegnący wzdłuż parkan z desek i za nim niewielki lasek, zaś po prawej stronie ściany budynków koszarowych. Jesteśmy przeto tuż u wejścia do koszar Wóleckich.

Stoimy i czuwamy — — Wtem nagle łomot setki karabinów od prawej strony coraz donośniejszy, coraz bliższy. Zanim się zorjentowałem, już placówki po prawej stronie od naszej cofają się ku nam, ostrzeliwując się gęsto „ukraińcom", atakującym wśród budynków koszarowych. Zewsząd ściągają ku nam skutkiem alarmu nasze siły. Jest nas już spora garstka. Jest podporucznik Wolańczyk i wydaje polecenia. Strzelam również zawzięcie w kierunku biegających chyłkiem po podwórzach koszarowych i strzelających do nas „ukraińców". Pojawia się także sam komendant naszego odcinka dr. Konstanty hr. Dzieduszycki. Mimo ognia od strony koszar i odstrzeliwania się naszych zdołałem go dość dokładnie zaobserwować. W mundurze „beliniaka", w płaszczu, w butach z ostrogami, z brauningiem

w garści tylko, wydaje rozkazy spokojnie a energicznie, nie zważając wcale na grad kul „ukraińskich", tak jakby wcale nie strzelano. Imponująca wprost a nawet pełna brawury i fantazji ułańskiej zimna krew w szalonym ogniu walki. Nakazuje cofnąć się z łączki do przydrożnego rowu i stamtąd odpierać atak „siczonych herojów". Widzę, że podporucznik Wolańczyk energicznie wyłamuje niektóre deski w parkanie przy rowie, by przez powstałe skutkiem tego otwory można było ostrzeliwać „ukraińców", zachodzących nas od lewej strony, jak świadczy o tem kierunek ich strzałów. Komenda rotmistrza Dzieduszyckiego staje się coraz energiczniejszą i dosadniejszą. W ogniu nie zna on parlamentarnych wyrażeń. Strzelamy, strzelamy bez przerwy. Ja, cofnąwszy się źle, znajduję się nie w ukryciu rowu, ale za jakimś słupkiem jakichś sztachetek i stamtąd posyłam strzał za strzałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że taki słupek nie jest żadną tarczą wobec kul Manlichera. Ale wie o tem nasz, widzący wszystko, komendant. Nagle słyszę donośny głos jego: — Psia krew! Zesuń się wtył, za szkarpę! — Oglądam się i spostrzegam, że wszyscy moi towarzysze walki leżą już za szkarpą ziemną i stamtąd „grzeją" siarczyście ku „ukraińcom". Chyłkiem udaje mi się cało dotrzeć do nich. Mimo, że zajęty jestem strzelaniem ku koszarom, przebiega mi przez mózg błyskawicznie myśl: — Zdaje mi się, że komendant uratował mi życie! — A „ukraińcy" walą i walą coraz gęściej od koszar w stronę naszej szkarpy. Nie czuję najmniejszego lęku, tylko przejmować mnie poczyna jakaś dziw-

na złość i zawziętość. Czuję, że ta strona zwycięży, która okaże więcej energji. Strzelam i strzelam w stronę widocznych tu i tam wśród budynków koszarowych „ukraińców", czynią to również równocześnie wszyscy nasi, tak, że powstaje przeraźliwy, ogłuszający łomot salw. Czuję, że niebawem popękają mi chyba w uszach bębenki, a równocześnie przejmuje mnie jedna tylko myśl, że musimy odepchnąć ten wściekły atak. A sylwetki „strelciów" wciąż się wśród zabudowań koszarowych uwijają, waląc w naszą stronę gęstwą strzałów. Kilku z nich wypada nawet przed wrota koszarowych obejść i nagle rozlega się z tego punktu grzechot karabinu maszynowego. Z drzew dokoła nas całą ulewą sypią się jesienne liście. Znak to, że zgórowali. Ale niebawem kule karabinu maszynowego zaczynają ryć ziemię o parę metrów przed naszą szkarpą. Sytuacja staje się nie do zniesienia. Strzelamy salwami jak szaleni w stronę tego karabinu maszynowego. Wtem gdzieś za nami, od strony prawej słychać bębniący warkot naszej „maszynki". To podporucznik Pragłowski ostrzeliwuje koszary. Trwa to dość długo. Strzelając, widzę wyraźnie, jest już bowiem prawie zupełnie widno, jak przy „ukraińskim" karabinie maszynowym jeden z „herojów" wali się na ziemię, reszta zaś ucieka, z tych jeden kulejąc szpetnie. Ogień z ich strony słabnie. Cofają się. Widać jak wśród dalszych zabudowań koszarowych przebiegają ku lewej stronie i kryjąc się za węgły ścian, ostrzeliwują nas ciągle. Strzelamy do nich bezustannie. Naraz słyszę poza plecami rozkaz komendanta: — Pierwsza czwórka

po karabin maszynowy! — Należę do tej czwórki. Pędzimy w stronę owych wrót koszarowych, padając co chwila na ziemię i strzelając w stronę zasypujących nas gradem kul „ukraińców". Już jesteśmy przy karabinie maszynowym. Porywam za skrzynkę z nabojami, to samo czyni mój towarzysz, dwaj pozostali chwytają za karabin maszynowy, i, nie zważając na leżącego na ziemi bez ruchu tuż u wrót „ukraińca", pędzimy ze zdobyczą, wśród gradu kul ku swoim. Zdobyliśmy karabin maszynowy!

Nasza grubogłosa „maszynka" znów gra. Coraz częściej widać wśród budynków koszarowych „ukraińców" przemykających się ku lewej stronie. Strzelamy wciąż ku nim. A oni wciąż „wieją" na lewo. Strzelają coraz rzadziej. Nareszcie ogień z ich strony cichnie prawie zupełnie. Na rozkaz komendanta patrole nasze (pierwszy z nich prowadzi podporucznik Wolańczyk) wkraczają między budynki koszar. Wracają po pewnym czasie z meldunkiem, że wśród pierwszych budynków niema „herojów", ale że strzelają do patroli z dalszych zabudowań. Niebawem meldują komendantowi, zapomocą ustnej relacji łącznika, że w innych miejscach zdobyli nasi jeszcze dwa karabiny maszynowe.

Tak więc atak odparty, — a nietylko odparty, ale uwieńczony zdobyciem trzech maszynowych karabinów.

Znów zaciągają placówki, znów rozsyłają patrole a reszta nas gromadzi się znów w wiejskiej chacie, ukrytej w okalającym ją sadzie. Komendant nasz gdzieś znika.

WYWCZASY NA WÓLCE.

Po odparciu ataków „ukraińców“ na Wólce, świtem dnia 5 listopada, oraz po zajęciu tegoż dnia w południe atakiem z naszej strony około południa koszar wóleckich, po wypędzeniu następnego dnia bohaterskich „herojów“ z Persenkówki rzutem jednej bomby z polskiego aeroplanu, nastąpił czas „wywczasu“ na tym odcinku, wywczasu jednakże z karabinem u nogi.

Umęczony prawie tygodniowem zmaganiem się z dziesięćkroć najmniej liczniejszym wrogiem, skorzystał z tej chwilowej przerwy w walkach dzielny rotmistrz-beliniak dr. Konstanty Dzieduszycki i poprosił o urlop. Otrzymał go, a równocześnie ze zezwoleniem na urlop przybył na jego miejsce następca jego na stanowisko komendanta odcinku. Był nim porucznik Ludwik Brzezowski, który na odcinku tym dowodził aż do chwili odbicia Lwowa przez Polaków, to jest do 23 listopada.

Ci, którzy mieli zaszczyt brać udział w walkach na Wólce i Persenkówce, przyznają mi chętnie wszyscy, że co do osób komendantów odcinek wólecki był prawdziwie szczęśliwym.

Porucznik Brzezowski, acz usposobieniem różniący się zasadniczo od pełnego fantazji kawaleryjskiej i nieustraszonej odwagi rotmistrza Dzieduszyckiego, okazał się doskonałością w swoim rodzaju. Do niedawna oficer artylerji austrjackiej, który odrobił służbę wojskową na wszystkich frontach Austrji, przy doskonałem doświadczeniu wojskowem, odznaczał się wielką dbałością o podległego mu żołnierza, przy równoczesnem precezyjnem wykonywaniu ciężących na nim obowiązków wojskowych. Stąd pochodzi, że mimo ataków „ukraińskich" utrzymał Wólkę w posiadaniu polskiem przez cały czas swego na odcinku tym dowództwa.

Żołnierz podległy mu, złożony przeważnie z uczniów szkół średnich (w lwiej części drugiej szkoły realnej), kilku „cywilów" i garstki, starych wojennem doświadczeniem, acz młodych latami, legjonistów polskich, bardzo szybko poznał się na tych czterech zaletach swego komendanta i szczerze go polubił.

Dla przyszłości warto wyjąć z szeregu dni, przepędzonych pod komendą porucznika Brzezowskiego, dzień jeden, aby i ten czas względnych „wywczasów" w Wólce nie zaginął w otchłani czasu.

Niechaj nim będzie dzień 8 czy 9 listopada 1918 r., kiedy to powróciwszy po kilkugodzinnym urlopie z prof. Wolańczykiem ze Lwowa na Wólkę, zameldowaliśmy się naszemu komendantowi.

Po zajęciu koszar wóleckich siły nasze, dochodzące niespełna do liczby stu głów, nie musiały się dalej kryć w ciasnej chatynce w gę-

stwie drzew sadu, ale ulokowały się „wygodnie" w kilku budynkach koszarowych. W jednym z budynków, tuż u głównej bramy, mieszkał porucznik Brzezowski, inne zaś ubikacje tegoż przekształcili dorywczo na koszary jego żołnierze. Pokoik porucznika, prócz najniezbędnie,szych sprzętów, posiadał telefon i tyle jeszcze miejsca, że na podłodze mogłem rozścielić mój koc, albowiem mianowany „łącznikowym" przez porucznika, musiałem również spać w tej samej izbie, w której on kwaterował.

To pełnienie służby „łącznikowego" bardzo mi się podobało, choćby dlatego, że wolny skutkiem tego byłem od służby wartowniczej, w tym dniu bardzo ciężkiej, albowiem dął tak zimny i przeraźliwy wicher tego wieczoru, że stojący na warcie lub placówce, już po kwadransie służby, mimo najcieplejszego ubrania, odczuwał wrażenie tak dotkliwego zimna, jakby stał zupełnie nagi na tej listopadowej wichurze. Ponieważ zaś porucznik spodziewał się tej nocy ataku ze strony „siczowych strielciów", przeto warty musiały jak najściślej wykonywać służbę, on zaś sam, co chwila opuszczał swą kwaterę i przez czas dłuższy był nieobecnym. W tym czasie, czujny i obowiązkowy jak zawsze, obchodził on, kontrolował wszystkie warty i placówki, by być pewnym ich koniecznej czujności.

Powróciwszy po jednej z takich dłuższych wycieczek, zarządził zbiórkę, podzielił zwołanych żołnierzy na dwie partje i zarządził, by jedna część czuwała na wartach, placówkach

i w koszarach, druga zaś udała się do niedaleko położonej byłej „kantyny" na kolację.

Sam porucznik Brzezowski prezydował podczas niej, zająwszy miejsce przy kotle, z którego rozdzielano wielką chochlą do menażek porcje rzetelnej potrawki z kury zgłaszającym się żołnierzom. Wyobrazić sobie należy, gdyż opisać się to nie da, jaką rozkoszą jest dla przemarzniętego do cna żołnierza, pełna menażka smacznej, gorącej potrawki.

Ale rzeczywistość tak często burzy wszelkie szczęście i oto złość jej nie oszczędziła i tego „szczęścia" w tej błogiej chwili. Zaledwie bowiem, weseli i szczęśliwi, zagłębiliśmy łyżki w smakowitej potrawce, aż oto porucznik Brzezowski, który po rozdzieleniu porcji „kantynę" opuścił, wpadł pośpiesznie do naszej jadalni i zawołał energicznie: — Alarm! Zbiórka u wrót koszar!

Przeklinając w duchu nienawistny los, zrywamy się wszyscy, chwytamy za karabiny i za chwilę stoimy w szeregu na nakazanem miejscu zbiórki. A porucznik Brzezowski po kilku z nas wysyła na wszystkie strony na patrole, albowiem doniesiono mu, że „ukraińcy" podsuwają się ku naszej stronie. W tej chwili, lustrując szeregi, spostrzegł, że mam przewieszone przez ramię binokle. I oto „łącznikowy a zarazem obywatel-profesor" na polecenie komendanta musi maszerować śpiesznie poza ostatnie placówki, hen, poza tor kolejowy, by przepatrzeć przy pomocy szkieł zarośla i lasek poza torem.

Po półgodzinie, rozpytawszy się również

placówek o ich spostrzeżenia, przeglądnąwszy szkłami o ile zdołałem jak najdokładniej zarośla i lasek poza teren, wracam i melduję komendantowi, że nie zauważyłem niczego podejrzanego. Podobnie meldują mu patrole wysłane w inne strony.

Wracamy na „kolację", ale potrawka jest już zimna i dużo straciła na wartości dla przemarzniętych w wichurze doszczętnie. Natomiast pewni jesteśmy, że „ukraińcy" nie mają ochoty atakować tej nocy, wobec czego ci, którzy nie pełnią służby, spokojnie przespać się mogą.

Kładę się i ja na twardej podłodze zasłanej kocem w pokoiku komendanta, porucznik zaś zasiada przy swym stole. Nie mogę jednak zasnąć i niebawem zaczyna się między komendantem a „łącznikowym" długa, poważna rozmowa o Polsce i jej sprawach, zdradzająca „łącznikowemu", że komendant jego jest nietylko dzielnym żołnierzem, ale równocześnie posiada gorące, szczerze polskie serce.

CUDOWNA OKAZJA

W czasie bohaterskiej obrony Lwowa w 1918 roku, chyba połowa dzieci lwowskich, nie liczących lat czternastu, klęła w duszy swej „przeklęty los“: — także pech! w takim czasie właśnie dzieckiem być!

Rozczytując się w trylogji i innych powieściach historycznych, — w Sienkiewiczu przedewszystkiem — oraz w innych patrjotycznych dziełach literackich, słuchając opowiadań i czytając w gazetach o czynie Legjonów, marzyły te dzieci, że i one wstąpią kiedy do szeregów walczących o Polskę, że będą kiedyś i one walczyć bohatersko i przelewać krew za Ojczyznę...

Taka wspaniała okazja, — a tu jest się: — dzieckiem!

Tak! Najmniej połowa chłopców i dziewcząt — „za młodych“ — przechodziła w owym czasie walk o Lwów ciche tragedje: — urojone tragedje, nie mniej jednak bolesne, słabości woli, niemocy czynu, — nie mówiąc już o tych prawdziwych ciosach, gdy zginął ktoś z rodziny, często w sposób okrutny zamordowany.

Jeszcze w listopadzie, kiedy toczyła się walka w samem mieście, wielu „za młodym" chłopcem udało się zaciągnąć do służby pomocniczej, do „wojska kartoflanego". Potem i tych rodzice pościągali zpowrotem do domu, kazali im chodzić do szkoły: — jakby nic się na świecie nie działo! jakby wokół oblężonego Lwowa nie toczyła się dalej zaciekła, krwawa walka! W wojsku pozostały tylko te dzieci, o których rodzice i tak zbytnio nigdy się nie troszczyli: dzieci ulicy.

W grudniu, po uwolnieniu miasta z rąk Ukraińców, poczęło się znów normalne życie szkolne; tylko wyższe klasy męskich szkół średnich świeciły pustką. A ci mali obrońcy, ci z „kartoflanego wojska", byli przedmiotem zazdrości i podziwu tamtych kolegów, którzy również pragnęli wziąć czynny udział w obronie miasta, lecz nie potrafili się w pierwszych dniach wkręcić do wojska.

Przyczyny były rozmaite. Jednym zabrakło szybko decydującej się woli, takiej silnej woli, nie oglądającej się na nic; inni byli „po tamtej stronie", zajętej przez wroga, albo też zbyt dobrze pilnowani byli w domu, inni znów bali się narazić rodzinę na przykrości niepokojów o ich los. — Wahali się, nie wiedząc, co powinni byli uczynić! Teraz widząc swych rówieśników, którzy umieli zdobyć się na czyn, gryźli się, czując żal do samych siebie, z powodu swej niepewności. Chcieliby przynajmniej teraz, gdy trwa oblężenie miasta, zostać żołnierzami. Chodzą do szkoły, niby się uczą, ale myśli ich przepełniają marzenia o przyszłem bohater-

stwie, więc czekają tylko dobrej sposobności, w rozterce ciągłej żyjąc, plany wciąż nowe układając. A każda wieść z pola walki fantazję ich jeszcze bardziej rozpala i pogłębia ich niemy ból.

*

Wieczór grudniowy wcześnie ciemnościami okrył miasto. Janka siedząc w ciepłym, oświetlonym pokoju w domu rodziców, wsłuchiwała się z bólem w zajadłe granie karabinów maszynowych, w ich rechot jakiś, — tego wieczoru rozpaczliwszy jeszcze aniżeli zwykle, z każdą chwilą w siłę rosnący.

— Gorąco dziś na froncie, — myśli Janka, — atak. Wielu w tej chwili pewnie ginie,— wielu bohaterów. Zmęczeni, wyczerpani bronią pozycyj, oczekując bezskutecznie pomocy. Pomoc nie przyjdzie. Tchórze, ukryci bezpiecznie po domach, ani myślą iść im z pomocą...

Mając na stole otwartą przed sobą gramatykę łacińską, wpatruje się Janka w czarność nocy, zalegającą ulice. Godzina dopiero szósta po południu, ale już zupełnie ciemno, — grudzień.

— Już połowa grudnia! Już sześć tygodni czekam...

Karabinów maszynowych głuchy warkot bólem wwierca się w duszę. Te głosy wzywają, wołają namiętnie:

— Chodź, chodź!...

Po raz tysiączny już chyba rozpamiętuje Janka z goryczą powody, dla których nie po-

szła: — najpierw pilnowano ją, a zresztą sił mało miała, gdyż była dopiero co po chorobie, po zapaleniu płuc; następnie wstrzymywała ją obawa, że na nic się nie przyda w walce, a rodzinie, przedewszystkiem matce, wyrządzi straszną przykrość. Najsilniejszą jednak była obawa, że nie przyjmą jej dobrych chęci, że wyśmieją ją. Prócz tego, nawet gdyby chwilowo udało się jej dostać między walczących, to prędkoby ją ojciec odprowadził zpowrotem do domu. Ojciec sam jest obrońcą, zarazby ją odnalazł. Przecież obrońcami są przeważnie znajomi ojca: — jego uczniowie, lub koledzy. Żeby to tak być chłopcem! Albo przynajmniej o dwa... trzy lata starszą!

Płakać się chce, nie uczyć...

Janka nie chce pogodzić się z myślą, że tę sposobność, zrealizowania swych wieloletnich marzeń, zmarnuje. Wciąż łudzi się nadzieją, że przecież jakiś cud się stanie, jakaś sposobność się nadarzy... Gdyby nie to, że nigdy jej samej w domu nie zostawiają, dawno byłaby już zmieniła w czyn wymyślony sposób... Przebrałaby się w ubranie ojca, i jako chłopiec zgłosiłaby się do wojska...

Pilne „uczenie się“ Janki przerwała nagle „cudowna“ wiadomość. Ledwie zdołała zapanować nad sobą, nad swą radością. Oto ni mniej, ni więcej: — zostanie teraz na dwie godziny sama w domu! Matka z jej starszą o rok siostrą, Heleną, muszą wyjść z domu. Oczywiście, zapewnia, że będzie się uczyć i uważać na dom, nikogo obcego nie wpuści...

Choć już słyszy trzask zamykanych drzwi

w przedpokoju, trudno jakoś jeszcze uwierzyć Jance w rzeczywistość upragnionego „cudu". Jest zdumiona, i — tak, niestety to prawda, — czuje się troszkę niewyraźnie, jakby lekki żal miała, że jednak tak się stało; bo teraz nie można już zwlekać, teraz już iść musi. Musi iść właśnie — w tę groźną, grudniową noc...

Gorączkowo, zdenerwowana, przystępuje Janka do dzieła, to jest do przebrania się za chłopca. Wyrzuca pośpiesznie rzeczy w szafie w poszukiwaniu za różnymi częściami ubrania męskiego. Jest wzrostu tego, co ojciec na szczęście. Przebiera się gruntownie, bo począwszy od wdziania męskiej bielizny. Koszulę wybrała sportową, bo kurtki żadnej mieć nie będzie, znajduje bowiem same surduty, w jakich nigdy rówieśni jej chłopcy nie chodzą. Łydki owija najgorszymi, znalezionymi ręcznikami, aby je zgrubić, żeby później „sztylpy" ojca jako tako się trzymały. Ale najpierw wciąga stare ojcowskie spodnie, czarne, w paski popielate. Pośpieszne wywracania i poszukiwania w szafie daremne, — niema szelek! Trudno. Ale „potrzeba jest matką wynalazków". Spodnie trzymają się już zupełnie dobrze, ale za to sznurek, związany w kształt szelek, wrzynając się w ramiona, dokucza szpetnie. Głupstwo! Jeszcze skarpetki, i obuwie. Znowu tragedja; wszystkie pary bucików ojca są o wiele za duże. Wreszcie decyduje się Janka na lakierki, bo te najmniejsze. Teraz opina krótkie „sztylpy" skórzane dokoła łydek.

Podchodzi Janka do dużego lustra i bada swe dzieło. Jest zadowolona. Wygląda zupeł-

nie na chłopca. Jest nad wiek słuszna, szczupła, twarz ściągła, rysy ostre, a włosy, po chorobie, krótko ścięte. W spodniach wpuszczonych w sztylpy wygląda zupełnie poprawnie. Tylko te lakierki! Nawet one są za obszerne. Gdy się zabłocą nikt nie pozna, że to lakierki; najgorsze, że podeszwa taka cieniutka marznąć się będzie. Et! drobnostka

Tak przebrana wdziewa na zakończenie Janka własny kożuszek, w którym zawsze chodzi, z krymskim kołnierzem popielatym, a na głowę wkłada barankową, własną, popielatą czapkę. Ta czapka, to wspaniała czapica! W tej czapce barankowej i w kożuszku wygląda tak „po męsku", że nieraz, bywało, gdy lada w sklepie zasłoniła sukienkę, kupiec zwracał się do niej z grzecznem zapytaniem: — czem mogę panu służyć?

Janka jest bardzo zdenerwowana, ale postanowienie jej jest niezłomne. Dławi tylko niepokój z powodu niewiadomej przyszłości i lęk bolesny, jak matka przyjmie to jej zniknięcie z domu.

Kontaktu od światła elektrycznego nie przekięca w pokoju; niech się świeci, niech ktoś patrzący z ulicy, sądzi, że w mieszkaniu są ludzie. Zresztą dwa psy w domu zaraz zaalarmują sąsiadów w kamienicy, gdyby kto obcy wkradł się do mieszkania. A wejść do mieszkania każdy będzie mógł bez najmniejszej trudności. Janka bowiem zdecydowała się wyjąć klucz z zamku drzwi w przedpokoju i włożyć go od zewnątrz. Jest mały, wertheimowski, może nikt obcy, idąc schodami, nie zauważy go,

a „swoi" będą mogli dostać się do mieszkania, gdy wrócą.

Pędząc po dwa schody z pierwszego piętra na ulicę, dygotała Janka ze strachu. Bała się spotkania z kimś z mieszkańców kamienicy. Ale na szczęście nie było nikogo. Obok oszklonych drzwi stancji dozorcy, tuż przy bramie, ostrożnie musiała się przemknąć; udało się.

Gdy Janka znalazła się na ulicy, uderzyły ją ciemność ponurej, chmurnej nocy, pustka ulicy, ciepły wiatr, śnieg roztapiający się w błoto odwilży, a przedewszystkiem wyraźniejszy, aniżeli w domu, terkot karabinów maszynowych na niedalekim froncie.

W latarni gazowej, świecącej się naprzeciw bramy coś piszczy i jęczy...

Dziwne uczucie owładnęło Janką. Przedewszystkiem smutek, że opuściła dom rodzinny; przykro jej teraz samej, w tem przebraniu, zapuszczać się w ciemną pustkę nocy. Żywo przypomniał się jej ciepły, zaciszny, spokojny, dopiero co opuszczony pokój. Czuje się opuszczoną, osamotnioną. Ale nie potrafiłaby już wrócić; z pewnością spotkałaby kogo na schodach, ośmieszyłaby się, — zresztą nie chce stchórzyć!

Teraz, gdy tak idzie marnie oświetloną ulicą, (oszczędzają węgla w elektrowni), w karabinów terkocie nowa nuta ją uderza. Strzały te nietylko głoszą, że tam, w tej chwili, ludzie giną, nietylko słychać w tem graniu zew: — Chodź!... Janka słyszy również też ton jakiegoś groźnego dla siebie ostrzeżenia; te wzywające głosy rów-

nież wyzywają: — Odważysz się iść — na śmierć?...

Idzie Janka szybko, ale bardzo jej ciężko na duszy i smutno jej bardzo. Idzie już ulicą Sadownicką. Gdzie niegdzie w kamienicach, obok których przechodzi, o murach podziurawionych kulami, widać oświetlone okna. Rzadziej spotyka zaświecone latarnie, wyglądające jak zielonkowate kule światła gazowego. Chwiejne to światło we wietrze i mdłe jakieś. Od smug żółtego, elektrycznego światła padającego z okien kamienic na jezdnię i chodniki, rozbłyskują od czasu do czasu duże kałuże wody.

Janka kilka razy omal, że się nie wywróciła, poślizgnąwszy się na lodzie w swoich za dużych trzewikach. Gdzieś zaskrzypiał złowrogo w wietrze blaszany szyld. Do bucików zaczyna przesiąkać woda. Obrzydliwa ta odwilż; wszędzie brudny, roztłamszony, topniejący śnieg, a pod nim lód.

Janka stara się iść energicznie, po męsku, a przytem równocześnie omijać kałuże wody. Ma przecie wyglądać na chłopca! Wyminął ją w połowie ulicy Sadownickiej jakiś wyrostek.

Szedł ciężko, wielkiemi krokami, kiwając się za każdem stąpnięciem; ręce niedbale wepchnął w kieszenie spodni. Janka stara się naśladować jego chód „męski“, stara się tak samo kiwać z nogi na nogę, i stawiać wielkie, ciężkie kroki. Tem bardziej jej na tem zależy, że przechodniów spotyka teraz więcej.

W myśli powtarza Janka uparcie różne

zwroty, a potem już nawet tylko końcówki męskie, aby wprawić się w mówienie po męsku.

Już widać ulicę Leona Sapiehy.

Na ulicy tej dosyć już duży ruch pieszy. Naprzeciw wylotu ulicy Sadownickiej, po drugiej stronie ulicy Sapiehy, jest zakład św. Teresy. Tu postanowiła udać się Janka, bo kiedyś coś zasłyszała, że w nim mieści się teraz poszukiwane przez nią biuro werbunkowe.

Ale jak przejść? Wzdłuż chodników wały nagromadzonego, brudnego śniegu, na drodze sanie i wozy przerobiły śnieg w jakąś mokrą, bronzową kaszę, tak grzęzką, że nogi zapadają się w niej powyżej kostek.

Pokręciła się Janka przez chwilę na rogu ulicy, upatrując najlepsze przejścia. Liczni przechodnie wcale na nią nie zwracali uwagi, co pocieszająco odczuła Janka: widać wygląda na prawdziwego chłopca.

Przebrnęła jakoś na drugą stronę, ale nie zupełnie szczęśliwie. W bucikach najspokojniej chlupocze już woda.

Okna zakładu były oświecone. Janka pociągnęła za drut od dzwonka przy bramie. Drzwi natychmiast się otworzyły. W progu ukazała się zakonnica w białym kornecie.

— Niech będzie pochwalony!—zaczęła Janka, starając się mówić głosem możliwie męskim.

— Na wieki wieków. Amen. Proszę bliżej.

Weszła Janka do środka przedsionka. Zakonnica patrzy dobrotliwie, jakoś życzliwie. To Jankę ośmiela.

— Proszę siostry; słyszałem, że tutaj jest

teraz biuro, przyjmujące ochotników do wojska polskiego...

— To nie tu, proszę pana, — objaśnia poważnie siostra. — To, zdaje się, przy ulicy św. Teresy, tu na prawo, zaraz, za rogiem.

Jance miło, że nazwana została „panem". Równocześnie jednak aż zaklęła w myśli: — A to ze mnie osioł, psia kość! Przecież, jako chłopiec, powinnam była zdjąć czapkę!

— Czy to biuro jest w kamienicy?

— Tak, zdaje się, na parterze.

— Bardzo dziękuję siostrze. Dobranoc! — czapki nieco uchyliła, niezgrabnie.

— Niech pana Bóg prowadzi! — pożegnała siostra, zamykając bramę. W głosie jej brzmiała jakaś rzewna nuta.

Janka znowu znalazła się na ulicy, na błocie. Jakoś czuje się teraz lepiej, weselej jej nieco. Powtarza ostatnie słowa zakonnicy. Cieszy ją owe: „niech Bóg prowadzi", a że już wie, dokąd ma się udać, więc idzie śmiało. Najbardziej zaś cieszy ją to, że zakonnica bez najmniejszych wątpliwości wzięła ją za chłopca, chociaż nawet zapomniała zdjąć czapkę.

Więc idzie już odważnie na ulicę św. Teresy. Ale tu nigdzie biura werbunkowego znaleźć nie może. Jest zrozpaczona. Chodzi od kamienicy do kamienicy, od bramy do bramy, — naprożno! A czas leci. W jednej bramie stoi jakiś starszy pan. Decyduje się zapytać go o biuro werbunkowe.

— Cześć!

— Cześć! — odpowiada jakoś niechętnie ów pan.

Janka jest znów wściekle zła na siebie. Osioł z niej! Najgłupiej w świecie postąpiła, ściągając teraz przy powitaniu czapkę z głowy. Ów pan zaczyna się bardzo podejrzliwie jej przypatrywać. Jest od niej o wiele wyższy i patrzy na nią z góry tak, jakby sobie myślał:

— Tam do licha Włosy paziowskie, gęba delikatna, biała, porządny korzuszek, spodnie stare, a sztylpy obłocone... Jakoś dziwnie wygląda ten chłopak!

Zatem nieco zdetonowana, zapytuje Janka prędko i mniej już pewnym, ale niskim głosem:

— Przepraszam obywatela. Czy nie wie pan, gdzie jest biuro, werbujące polskich ochotników? Mówiono mi, że tu gdzieś przy ulicy św. Teresy! Chciałbym się zgłosić.

— Tu, przy tej ulicy niema tego biura. Przy ulicy Sapiehy, w parterze, w kamienicy, na rogu ulicy Sapiehy i Sadownickiej. Naprzeciw zakładu św. Teresy.

— Ach! tak... Bardzo dziękuję.

— Ale teraz zapóźno...

— Zapóźno?

— Teraz siódma,—popatrzył na zegarek.— Tak, zapóźno; biuro otwarte tylko do godziny szóstej.

— A to pech!—nie mogła się Janka wstrzymać od wykrzyku, i to swoim naturalnym, wyższym głosem.

Starszy pan popatrzył na nią znowu z większem zaciekawieniem.

— Dziękuję. Cześć!

— Cześć, młody obywatelu...

Zawróciła więc znów Janka na ulicę Leona

Sapiehy. Pędzi, nie zważając już wcale na kałuże wody, powtarzając z rozpaczą w myśli:— zapóźno, zapóźno! — Spieszy się, bojąc się rozpłakać na ulicy. Pędzi, oczywiście, do domu.

— Prędzej! Dopiero siódma; jeszcze zdąży przebrać się zpowrotem w swoje suknie i wszystko posprzątać, aby nie poznali, gdy wrócą.

Gdy dobiegała do domu, zauważyła, że okna w mieszkaniu tak samo są oświetlone, jak je zostawiła. Przemknęła myśl: — a nuż w domu są złodzieje! — Znowu ostrożnie przebiegła po schodach na górę, znowu szczęśliwie, bez spotkania kogokolwiek. W drzwiach tkwił najspokojniej, mały klucz, nikt go nie zauważył. Przekręciła klucz w zamku i weszła do wnętrza mieszkania. Oba psy przywitały ją radośnie. Uderzyło ją, że wszystko w domu jest tak samo, jak było, nic się nie zmieniło, — tak, jakgdyby tej całej jej wyprawy wogóle nie było.

Z większym jeszcze pośpiechem, aniżeli przed wyjściem, poczęła się Janka przebierać zpowrotem w swoje ubranie. Ojca rzeczy odczyszcza, wkłada na ich miejsce, starając się wszystko tak umieścić, jak przedtem było. Buciki nastręczyły najwięcej kłopotu.

Już wszystko w porządku; — jeszcze należy tylko powycierać ślady mokre na podłodze, tę wodę z roztopionego śniegu.

Teraz może już odpocząć, usiąść i wybeczeć się...

Brama na dole trzasła. Za chwilę rozległ się głos stróża. Matka i Helunia wróciły. Janka wstaje, ociera oczy, idzie drzwi otworzyć.

— Cóżeś taka zapłakana? — pyta matka zdziwiona.

— Et, nie... Trochę mi żal, że niema teraz pieniędzy, aby kupić te okazyjne skrzypce...

— A wiesz, Janka, zdaje się, że je kupimy. Pójdziemy jutro do tego pana, zapytamy się, czy nie zaczekałby do pierwszego... Trudno, teraz wojna, ojciec nie ma lekcyj prywatnych.

— Naprawdę, pójdziemy? — ucieszyła się Janka całkiem szczerze, bo rzeczywiście pragnęła bardzo dostać nowe i to dobre skrzypce.

Wraca do pokoju, podstraja skrzypce i zaczyna ćwiczyć lekcję, zadaną na jutro. Zwolna rozżalenie jej ucisza się.

A gdy skończyła grać, podeszła do okna. Karabiny na froncie grzmiały jeszcze wściekleji, aniżeli poprzednio. Rozżalenie powraca. Powinna była udać się tam wprost do nich, do walczących, na front, — i także walczyć. Przepadła cudowna okazja! Ot! tchórz, — a może naprawdę jest jeszcze za bardzo dzieckiem...

CZARNA ŚCIANA

Piotr Włast, zwany przez towarzyszy broni „Piotrusiem“, a częściej jeszcze szorstko, a poprostu: „Pietrkiem“, uczeń szóstej klasy szkoły realnej, równie jak wielu jego dzielnych, a pochopnych do bitki kolegów, znalazł się dnia pierwszego listopada pamiętnego roku 1918 w szeregach, walczących z „Ukraińcami“ w obronie Lwowa.

Od dnia tego minęło już przeszło dwa tygodnie. I oto szedł Włast, a raczej podążał naprzód powoli, wśród mglistego zmroku i przejmującej do szpiku kości wichury listopadowej, ścieżyną pośród bezlistnych, kolczastych krzewów, zapadając co chwila swemi ciężkiemi, niedawno w magazynie szkoły Sienkiewicza „zafasowanemi“ buciskami żołnierskiemi, w jakieś wyboje, pełne chlupiącej wody lub lepkiego błota, albo dla odmiany potykał się o mniejsze lub większe kamienie, na ścieżynie porozrzucane. Nie zważał jednak wcale na uciążliwość drogi, lecz dążył niezmordowanie naprzód, ostrożnie, a możliwie jak najszybciej do swego celu, to jest do ostatnich placówek rezerw, które mu porucznik Breda, jako swemu ordynansowi, polecił dokładnie zlustrować.

Było około ósmej wieczorem, a więc w tym czasie, kiedy nie jest jeszcze zupełnie ciemno w tej porze dnia listopadowego, kiedy idącemu bez latarki spiętrzają się większe trudności, aniżeli podczas całkowitej ciemności, do której wzrok łatwiej się przystosowywa, i po pewnym czasie lepiej w niej rozpoznaje zarysy i kształty przedmiotów, aniżeli w niezdecydowanej, oszukującej oczy półmroczy. Nic przeto dziwnego, że nieraz Włast w niektórych miejscach ścieżki dotykiem rąk po krzakach orjentować się musiał, by nie zejść z niej na bok, a niejednokrotnie przystawał nagle, dostrzegłszy jakiś ruchliwy półcień, w przypuszczeniu, że gdzieś przed nim skrycie przesuwa się jakaś postać ludzka. Ostrożność była konieczna, bo i sam dość długi front był bardzo słabo obsadzony niespełna pięćdziesiątką ludzi i rezerwa, w liczbie niespełna trzydziestu szeregowców, mogła sobie pozwolić tylko na tak rzadkie rozrzucenie placówek, że niejeden „Ukrainiec", przy szczypcie energji i odwagi mógł między niemi łatwo się prześliznąć, jako gość niepożądany.

A tam, na froncie, toczyły się już utarczki. Front ten nie był daleko, bo w odległości jakich dwu kilometrów od najdalej wysuniętych placówek rezerwy, tak że słychać było wyraźnie to szybszą, to powolniejszą palbę salw karabinowych, lub grzechotanie od czasu do czasu karabinu maszynowego. Górą nawet, ponad głową Właста przelatywały kule, gwiżdżąc, sycząc lub świszcząc, a nieraz szuściły wśród

krzów, przez które szedł Włast, łamiąc ich gałązki.

Ale Włast na to wcale a wcale nie zwracał uwagi. Kule, przelatujące górą, mimo swych syków i gwizdów, nie zasługiwały na uwagę, wiedział on już z doświadczenia wojennego, że są to te, które lichy żołnierz nieprzyjacielski w lękliwem zdenerwowaniu „strzelał Panu Bogu w okna"; temi zaś, które padały w krzaki, kędy prowadziła jego ścieżka, nie zajmował się również wiele, wiedział bowiem, że jemu, idącemu z konieczności naprzód, niesposób kryć się przed niemi, czasem tylko, gdy jaka „ekrazytka" bryznęła za blisko niego w krzaki, witał ją steoretypowem już: O, psiakrew!

Więcej zato obchodziły go odgłosy walki, hen, na przedzie. Gdy muzyka strzałów gęstniała i przechodziła w jakiś nieprzerwany łomot sal v, pewny był, że „karabiny psiakrew" atakują, a nasi gęstemi salwami na miejscu ich osadzają. Gdy zaś bezpośrednio po łomocie salw lub równocześnie z nim rozlegało się głuche, dudnienie karabinu maszynowego, wiedział, że atak wrogów dochodził do maksimum natężenia, gdy zaś salwy nieco cichły, a dudniący głos „maszynki" rwał się i ustawał, wiedział dobrze, że atak wroga został odparty. Wiedział również, nie z odgłosów walki wprawdzie, ale od swego porucznika, że Polacy z powodu wielkiego napływu czerni, bronią się tylko, a nie atakują. Domyślał się zaś z półsłówek komendanta, że z miasta ma nadejść sukurs w liczbie kilkudziesięciu ludzi, a wtedy... A wtedy, radował się samą możliwością tego przypuszczenia,

może porucznik te posiłki złączy z rezerwą i, posunąwszy je na sam front, atak z naszej strony rozpocznie...

Radowało się serce jego na samą myśl ataku, po pierwsze z tego powodu, że da się „dobrego łupnia karaimom", którzy, atakując bez przerwy, zmuszali od szeregu dni nawet rezerwę do ustawicznej nużącej, pozbawionej snu czujności, a także dlatego, iż spodziewał się, że skoro front posunie się nieco ku przodowi, dostać się będzie mógł do najbliższej wioski, obsadzonej obecnie przez „Ukraińców", w której mieszkał ojciec jego, kilkumorgowy rolnik, z matką i młodszem rodzeństwem. Radował się w duszy na samą myśl, jak to wspaniale wyglądać będzie, gdy po wyparciu wroga ze wsi, stanie przed ojcem i matką, jako „żołnierz polski".

— Zobaczy „stary", żem nie „świrk" wcale, ale żołnierz, co się zwie — monologował w duszy — i nic nie powie, że bez pytania o pozwolenie za karabin chwyciłem... A gdy jeszcze im powiem, że jestem ordynansem pana porucznika!...

Rozmyślania przedzierającego się przez krzaki Własta przerwał nagle mocny krzyk przed nim na jakich trzydzieści kroków:

— Stój! Kto tam? Hasło!

Włast zatrzymał się i odkrzyknął:

— Reduta! Odzew?

Z ciemności doleciało doń:

— Rokitna!

Obaj, Włast i stojący na posterunku, poczęli zbliżać się do siebie.

— Cześć!

— Cześć!

Z cieni nocy wyłonił się posterunek.

— A to wy, obywatelu, tutaj? Komendant mnie przysyła, abym się dowiedział, co tu słychać.

Do Własta zbliżył się na jakie dwa kroki i zasalutował mu chłopak około szesnastu lat liczący, w popielatej świtce cywilnej i studenckiej czapce, ozdobionej kokardką wypełzłej już barwy amarantowo-czerwonej. Był to Kubuś Miński, syn profesora politechniki, przed rokiem rektora tejże, i dlatego w gronie towarzyszy walki „rektorem" uszczypliwie nazwany.

— Nic nie słychać i nic nie widać, do cholery!

„Rektor" sadził się na to, by kląć jak najwięcej, jak jaki stary wyga żołnierzysko, sądząc, że to mu dodaje powagi.

— Jakaś baba tylko pchała się, by przejść przez front, ale po bezowocnych tłumaczeniach zagroziłem jej, że palnę, jeżeli się nie cofnie... To nareszcie pomogło. Niechciało wracać, molestowała, że musi iść do córki, mieszkającej w najbliższej wsi...

— Rusinka?

— Czort ją wie! Po miejsku ubrana.

— Czy macie co jeszcze do zauważenia?

— Że dobrzeby było, gdyby się jaki „karaim" pokazał, byłoby do kogo czasem palnąć, a tak, na wiatr, nie wolno... Zauważyć? Chyba to jeszcze, że wicher obrzydliwy, przez świtkę jak nic, przełazi, a stoję tu już, zdaje się, więcej, aniżeli trzy godziny... Możeby już zluzowali...

— Zrobi się to, zrobi... Bądźcie cierpliwi... Jeszcze godzinkę, lub dwie... Naszych mało... Gdzie najbliższa placówka?

— Tam, na lewo... Czy widzicie na wzgórku chałupę, a niedaleko niej grupę drzew?

— Coś niecoś widzę... Grunt, że znam kierunek... Trafię... Kto tam stoi?

— Dyngas.

— Morowy chłop, dobrze wybrali... Stary legun...

— Takiemu zawsze dobrze... Strzela sobie i strzela... Już było jakich dziesięć strzałów, a tu co... I jeszcze zakazał, aby w razie strzałów nie iść do niego z pomocą, chyba, gdyby raz po raz cztery razy wystrzelił.

Pożegnali się i rozeszli. Gdy Włast obejrzał się za chwilę, już nie dojrzał „rektora". Wsiąknął on w mrok późnego wieczoru mimo swej jasno-szarej świtki. Szedł teraz skrajem parowu, zwężającym się w miarę wznoszenia się gruntu, czego Włast nie dostrzegał wprawdzie, ale czego się domyślał, gdyż nie był tu po raz pierwszy. Wiedział również, że parów ów kończy się nieopodal wpół rozwalonej chałupki, niezamieszkałej przez nikogo. Był tu z patrolką przed pięciu dniami. Szedł więc poomacku skrajem parowu, pewny, że tenże go doprowadzi do placówki.

Nagle przed nim na jakich dziesięć kroków jakaś postać wyrosła nagle, gdyby z pod ziemi. Włast usłyszał energiczne:

— Stać!

Nagły krzyk przerwał tak brutalnie dalszy wątek rozmyślań Właста o ojcu i rodzinie, że

wstrząsnął się cały. Oprzytomniał jednak w tej sekundzie i rzucił hardo:

— Hasło?!

Lecz postać zaczęła się doń zbliżać, wołając jowialnie:

— Masło, masło, bodaj was zatrzasło. Z ukraińskim pasztetem! Właśt! Poznaję was po głosie. — Szwendacie się po nocy tak, że myślałem, że to jaki siczowiec, dlatego dopuściłem tak blisko, aby za kark żywcem ułapić.

Przed Właśtem stanął tuż Dyngas i na powitanie wyciągnął doń swą olbrzymią łapę. Właśt podał mu rękę, którą tenże uścisnął tak krzepko, że chłopak mało z bólu nie wrzasnął. Zły, zapragnął zaimponować Dyngasowi.

— Komendant, jako ordynansa — słowo: „ordynans" podkreślił silnie głosem — wysłał mnie, bym zlustrował placówki...

— Fi, fi, fi, „ordynans" — zaświstał legjonista. — Sztab pana komendanta... Nieduży, ale zawsze sztab... A przyczepiliście sobie jaką gwiazdkę do manlichera? — kpił w dalszym ciągu. — Bo to, uważacie, każdy sztabowiec, gdyby mógł, to nietylko do kołnierza, ale nawet do karabinu naczepiałby gwiazdek, aby zwykły legun poznał, co on zacz jest...

Właśt udał, nieco zawstydzony, że nie wie, do kogo Dyngas pije.

— Co u was słychać? Mówiono mi, żeście parę razy strzelali.

— Już o tem wiecie? Przed sztabem nic się nie ukryje! Nic ciekawego... Ot, heca... Uważasz, obywatelu ordynansie, grzbiet tego wzgórza ciągnie się dalej, hen, może parę kilome-

trów poza tę chałupę, która się niedaleko nas czerni... Nasi, zdaje się, tam na samym froncie są po prawej i po lewej stronie tego wzgórza... Tak przynajmniej sądzę, wsłuchując się w strzały... Gdyby te capy „ukraińskie“ miały rozum, źleby mogło być z nami, bo mogliby przerwać front...

— Jakto?

— Grzbiet wzgórza jest jako kładka, po której idąc ostrożnie w ciemności, mogliby „karaimy“ łatwo wtrynić się nam na tyły... Ale ja flaki we łbie mam i widziałem dość, bo ja „karpatnik“, a nie żółtodziób...

— Więc?

— Otóż... Gdy tylko tam, hen, krzaki się chibotać poczną, jakby kto idąc rozgartywał je sobą i łapskami, walę w tę stronę... Umyślnie górą, aby kule przenosiły na „ukraińską“ stronę i przypadkiem o którego z naszych nie zaczepiły... A to wystarczy, bo jeśli tam lezie jaki petlurowiec psiajucha, to ten ma nos i ma boja i wprzód się pchać nie będzie, wiedząc, że tu się czuwa...

— No, ale wy przecie sam...

— Wielka rzecz... Ja im robię wielką placówkę... Nigdy nie walę z tego samego miejsca... Palnę, potem idę na jakich pięćdziesiąt kroków na prawo lub na lewo i znów walę... Tym, którzy się pchają, wydaje się, że tu cała kompanja na placówce... Wiecie, takim „witzem“ zrobiłem w Karpatach raz to, że kilkudziesięciu Mochów, lezących pod górę wprost na mnie, cofnęło się, choć na szczycie byłem sam jeden, jak palec... A potem w jaką godzi-

nę później dranie Moskale zaczęli szczyt ten ostrzeliwać z armat... Tak i tu jest, bo przecie „karaimy" głupsze są nawet od Mochów... no i mają boja, co się zwie...

— Bardzo to sprytnie robicie...

— Cóż robić... Szlagby mnie trafił, gdybym tu sterczał bezmyślnie, jak drąg, wbity w ziemię... I tak nudzi mi się tu piekielnie... No, ale chodźmy do chałupy, coś wam pokażę.

Grzbietem wzgórza dotarli niebawem do wpółrozwalonej chałupy chłopskiej. Bez drzwi, bez okien, bez dachu prawie, bo na niektórych krokwiach tylko chwiały się w wietrze strzępy strzechy, sprawiała ona w ciemności jakieś niesamowite wrażenie.

Przez otwór dawnych drzwi weszli obaj, kierując się dotykiem rąk, do sieni, prowadzącej do izby, również drzwi pozbawionej. Gdy do niej weszli, Dyngas wydostał skądś ze swego płaszcza elektryczną latarkę i zaświecił:

— Co robicie? — krzyknął Włast — zobaczy jeszcze kto światło!

— Nie miejcie boja... Nie zobaczy, do cholery... Czyście ślepi? Przecież widzicie, że okna zatkane słomą... No, jakże się wam podoba moja kwatera?

Włast, którego dotąd raził blask światła, rozejrzał się zaciekawiony dokoła siebie.

W jednym kącie izby ujrzał rozścieloną słomę, wygniecioną, jakby ktoś niedawno leżał na niej.

— To moje łóżko — wyjaśniał wesoło Dyngas. — Gdy się nawartuję, nastrzelam dla do-

dania boja Ukraińcom, przychodzę tu, by trochę wyciągnąć gnaty...

Następnie skierował światło latarki ku ścianie o zatkanych oknach.

— A to moja forteca... Czy widzicie?...

Teraz dopiero spostrzegł Włast, że pod oknem, tuż pod ścianą chaty, Dyngas, z naniesionych skądś cegieł i kamieni utworzył aż do wysokości okna drugi mur, że o ten drugi mur oparł jakieś, położone dłuższym bokiem drzwi, następnie dał warstwę słomy, którą z drugiej strony od izby podtrzymywał żelazny blat kuchenny, widocznie z paleniska tej chaty wyrwany.

— To moja forteca i strzelnica w razie masowego napadu tych draniów... Tego muru kula karabinowa nie przebije, ja zaś mógłbym do nich strzelać przez otwór okna, wyrzuciwszy słomę, jak do kaczek...

Zamyślił się nieco.

— A jakby tu pysznie można było ustawić „maszynkę!" Kilkuset Ukraińców odparłby stąd, jak nic...

— Toby było wspaniałe—zawołał Włast.— Tem bardziej...

— Co, tem bardziej?

Włast nieco się zmieszał. Nie chciał bowiem jako „ordynans", zdradzać zamysłów komendanta, o których zresztą sam nie wiedział nic dokładnego.

— E, nic, nic...

— Sztabowa tajemnica... Nie chcecie gadać, to nie — rzekł szorstko obrażony Dyngas. —

Za język was ciągnąć nie będę... Sztabowa tajemnica — powtórzył drwiąco.

Te ostatnie słowa ukłuły Własta.

— Przestańcie, do licha, wygadywać mi od „sztabowców“... Ja taki sam sztabowiec, jak wy!... Ukąsiłem się w język, bo sam dobrze nie wiem... Ale co myślę, to wam powiem... Zdaje się, że może jeszcze tej nocy przyjdą nam z miasta posiłki...

— Niby, poco? Przecież nie cofamy się.

— Otóż właśnie... Myślę, że po ich otrzymaniu, my zaczniemy atak...

— Dobrze powiedziane, zuch jesteście — rzekł Dyngas z ożywieniem. — Tak, tak, to możliwe. Wiecie co, powiedzcie to komendantowi... Tu w tej chałupie, powinna stanąć „maszynka“, bo tu w mojej fortecy djabeł jej niczego nie zrobi... A tam dalej, widzieliście, jakich sto kroków stąd, jest grupa drzew, a przed nią — rów. Tam schowaćby można choćby kilka dziesiątek ludzi... Doskonały „dekunek“. A potem, wiecie, niby to urządzić na samym froncie cofanie... Głupie petlurki podlezą aż tu, a wtedy z „maszynki“ ich sprać, z rowu nagłym atakiem rozbić i gnać, het, poza wieś, w której teraz siedzą...

Dyngasowi świeciły się aż oczy.

— Powiem komendantowi, powiem! — zawołał żywo Włast.

— Nie zapomnijcie!... A na pomyślność owego projektu napijcie się parę kropli „ćmagi“... To dobrze robi, gdy tak człeka wichura wybije...

Mówiąc to, Dyngas z pod słomianego lego-

wiska wyciągnął płaską flaszkę, wypełnioną do połowy wódką, i podał ją Własiowi.

— Pi, pi, i wódkę macie...

— Udało mi się wycyganić kapinkę w mieście i przytaskać za pazuchą aż tu... Pijcie... Bo to, widzicie, legun bez ćmagi, to tak, jak pies bez ogona...

Własi pociągnął łyk wódki i podał flaszkę Dyngasowi.

Ten łyknął głęboko, a potem, jakby bronił jej zawartości przed samym sobą, czem prędzej wetknął flaszkę w głąb słomy.

— Mało jej... Trzeba oszczędzać — dorzucił z westchnieniem.

— A teraz czas mi w drogę — rzucił nagle Własi. — Śpieszyć się trzeba... Zasiedziałem się u was... Chcę jeszcze obejrzeć ten rów... Toby było pysznie... Poproszę komendanta, bym był w tym ataku... Tak, tak zrobić trzeba... Uderzyć w nich — i odebrać im wieś... Moją wieś— dorzucił — wiecie, tam jest mój ojciec...

— Zobaczcie ten rów... I tak najkrótsza droga do następnej placówki tamtędy prowadzi... Od drzew i rowu w dół, na lewo...

Wyszli razem z chaty. W sieniach Dyngas zgasił latarkę. Wśród wichury listopadowej podali sobie ręce.

— Dobrze, żeście łyknęli „ćmagi", nie będzie tak zimno...

— Cześć!

— Cześć!

Rozeszli się w strony przeciwne.

I znowu jak poprzednio „rektor", tak teraz Dyngas wsiąknął w ciemności nocy i Własi

uczuł się sam. Zdając sobie sprawę z tego, że u Dyngasa zatrzymał się dłużej nad potrzebę, śpieszył się teraz, mimo wichury, która cięła go wprost w twarz. Niebawem kępa drzew, o której wspomniał Dyngas, majaczyć poczęła nieco ciemniejszą czernią, gdyby czarna ściana na tle mroków, teren zaś pochylać się począł w dół nieco.

— Pewnie niedługo natrafię na rów, gdzie dobrzeby było ukryć naszych — pomyślał Włast.

Nie omylił się, gdyż zeszedłszy po pochyłości jakich piętnaście kroków, natrafił rzeczywiście na rów dość szeroki, zarośnięty zielskiem, o brzegu właśnie od strony nieprzyjaciela dość wysokim, co zupełnie odpowiadało zamierzonemu celowi. Włast postanowił jeszcze zbadać jak ów rów jest długi, aby wiedzieć ilu, mniej więcej, ludzi może się w nim ukryć. Kierując się dotykiem rąk i instynktem zawodowego skauta, począł iść zwolna wzdłuż rowu. Nagle wydało mu się, jakby niedaleko tego rowu wyrosła z ziemi nagle jakaś czarna ściana. Podniósł oczy w górę.

— Psiakrew, co za przywidzenie — mruknął sam do siebie. — To przecież ta kępa drzew, do której rów się przybliżył. Z tej strony gęściejsza, wygląda jakgdyby jaka czarna ściana.

Mimo tego wytłumaczenia jakiś nie dający się bliżej określić niepokój ogarniać począł Właста wbrew jego woli.

— Upiłem się, psiakrew, tym łykiem wód-

ki, czy co, że mię bez przyczyny tchórz oblatuje... Psiakrew!

I począł dalej iść brzegiem rowu, patrząc uważnie wdół i rozgarniając rękoma zielska i krzewy kolczaste chwytające się jego ubrania.

Nagle do uszu jego dobiegł przeciągły, żałośliwy głos:

— Pó—ójdź — — Pó—ójdź.

W niebywałym lęku krew lodem ścięła się w żyłach Własta. Po dobrej dopiero chwili, dygocząc zębami jak w febrze, począł się nieco spokojniej zastanawiać nad tem dziwnem wołaniem.

— Jezus Marja! Co to jest? Do stu djabłów, czy kto woła na mnie?... Zdawało mi się... Psiakrew, wstyd, hańba bać się jakiegoś żałośliwego skowytu...

Szybko zdjął karabin z ramienia, otworzył bezpiecznik i wygramolił się z trudem na skraj rowu. Stanąwszy nad nim, wyprostował się i począł nadsłuchiwać.

Zupełna cisza... Wicher listopadowy tłukł się tylko wśród mroków nocy... Tam na froncie, hen, nie strzelano teraz, nawet górą nie przelatywała gwiżdżąc żadna kulka.

— Przesłyszało mi się—żachnął się Włast.— Co za przywidzenia jakieś i złudzenia!... Trzeba iść dalej, szkoda czasu.

Usiadł na ziemi, by bezpieczniej zsunąć się do rowu. Uspokoił się nieco, aczkolwiek ręka, trzymająca karabin, drżała mu jeszcze trochę.

Właśnie wysunął był wprzód nogę, szukając oparcia o stały grunt, gdy wtem gdzieś bardzo blisko, jak mu się zdawało, poza plecyma

prawie, rozległ się znowu przeciągłem, żałośliwem wołaniem głos niesamowity:

— Pó—ójdź! Pó—ójdź! Pó—ó—ójdź!

Teraz Właśt nie zdołał już opanować lęku, przechodzącego w przerażenie. Czuł, że to wołanie nie jest głosem ludzkim, odczuwał słuchem, że nie dochodzi ono doń z powierzchni ziemi, ale skądś z ponad niej, skądś z pośrodka tej czarnej ściany drzew, której niesamowity wygląd tak był go niedawno zaniepokoił. Wbrew woli, wbrew nakazowi rozsądku nie zdołał, nie miał siły obejrzeć się poza siebie. Skoczył przerażony w rów, przewrócił się i jak szalony począł bezprzytomnie biec w dół wgłębieniem rowu.

Dopiero po kilku minutach biegu rowem a następnie zboczem wzgórza w dół, nie mogąc złapać tchu w piersiach, począł przytomnieć.

— Co mi się stało? Psiamać! Wyrywam, jakby jakie upiory gnały za mną... Brr!

Dreszcz go przejął, mimo, że był aż spocony tym szalonym biegiem. Zapiął pośpiesznie poodpinane guziki od płaszcza, poprawił pasa, zamknął bezpiecznik karabinu, zarzucił go na ramię i wolnym krokiem począł schodzić w dół, czując, że po tem szalonem zmęczeniu nogi w kolanach mu się prawie uginają.

— Co to mogło być? — rozmyślał.

Nagle zaświtało mu w głowie. Przypomniał sobie gdzieś kiedyś zasłyszane w szkole zdanie, że jeden gatunek sowy, wołający żałośliwie: „pójdź", zabobonni chłopi „pójdźką" nazywają i wołanie jej uważają za przepowiednię bliskiej śmierci.

— To pewno sowa była — zachichotał w duszy Włast — a ja jak głupiec jaki uciekałem, gdyby „świrk" najpodlejszego gatunku.

Rozmyślając nad tem, utwierdzając się w tem przekonaniu, i klnąc swe niezdarne tchórzostwo, schodził dalej w dół, poprzysięgając sobie, że nikomu ani słówkiem nie piśnie o tej przygodzie.

— Stój! Kto tam? Hasło! — zatrzymał go głos placówki.

Włast wymienił hasło, zażądał odzewu, i niebawem stanął przed nim kolega jego z tej samej klasy, Staszek Zasławski. Przybliżywszy się zaświecił elektryczną latarkę, kierując jej blask wprost na twarz Właста.

— Cóżeś tak blady jak kreda? Choryś, czy co?

— E, nic! Zimno mi z tej wichury i mam dreszcze, ale to minie — wykręcał się Włast i począł zkolei rozpytywać kolegę, czy niczego nie zauważył podejrzanego.

— Nic a nic — wyjaśniał tenże — nudny spokój i tyle... Powiedzno tam, żeby już nas zluzowali... Stoję tu przeszło cztery godziny...

— Gdzie najbliższa placówka?

— O jakich sto kroków niżej stoi profesor Marjan...

A potem jeszcze trochę drogi i jesteś już na miejscu... Tylko czasem nie pytaj o hasło którego z koni, włóczących się tu po pastwisku, boby się z ciebie wyśmiano, jak mnie się to zdarzyło...

Włast, nie odpowiadając na dowcipy kolegi, oddalił się w kierunku najbliższej placówki. Od

zaniepokojonego jego wyglądem profesora Marjana usłyszał małe kazanie, zakończone konkluzją, że ten jest prawdziwie dobrym żołnierzem, kto nietylko dzielnie walczy ale ten, kto dzielnie walczy i równocześnie nie naraża lekkomyślnie zdrowia na szwank. Właśt wysłuchał uwag i zatrzymawszy się jeszcze przy dwu ostatnich placówkach, dotarł nareszcie do kwatery komendanta.

Zapukał energicznie do drzwi, a na głos: „proszę! wszedł i zasalutowawszy, rzekł:

— Rozkaz wypełniony!

Ani wspaniale, ani imponująco kwatera komendanta nie wyglądała. Mały na biało tynkowany pokoik, z dobrze obłupanym tynkiem gdzie niegdzie na ścianach, o dwu oknach szczelnie derami wojskowemi zasłoniętych. Na podłodze w trzech miejscach pod ścianami rozesłane było nieco słomy, przykrytej derami burej barwy, druga taka dera, złożona, zastępowała poduszkę. Ponad każdem z legowisk tkwił w ścianie na wysokości metra duży silny gwóźdź. Na nim układający się do snu zawieszał swą broń, by ją mieć pod ręką na wszelki wypadek. Prócz tego przy ścianie między oknami znajdował się zwykły stół z białego drzewa, na którym leżała dokładna mapa austrjackiego sztabu jeneralnego odcinka, na którym dowodził Breda. Na papierach, leżących na stole, spoczywał zamiast przycisku nabity browning. Resztę umeblowania wspaniałego apartamentu uzupełniał mały piecyk żelazny, w którym paliły się snać trzaski drzewne, gdyż spora naręcz ich leżała przed piecykiem. Przy ścianie przeciwległej stołowi

znajdował się jeszcze telefon, łączący komendę odcinka z główną komendą kilku odcinków przyległych.

Komendant siedział właśnie przy stole, studjując przez szkło powiększające dokładnie, leżącą przed nim mapę i notując na kartce, obok leżącej, swe spostrzeżenia. Był to człowiek trzydziestoletni, słusznego wzrostu, o twarzy szczupłej i ogolonej, w siwawej bluzce austrjackiego oficera artylerji o takichże „priczezach" i w butach z cholewami. Na stole leżała jego austrjacka czapka oficerska, której „bączka" zastąpił srebrny orzełek i wpięta nad nim białoamarantowa kokardka. Na głos Własta porucznik Breda zwrócił doń głowę i utopił swe bystre, szarobłękitne, a pełne skrywanej dobroci oczy w twarz Piotrusia.

— Mów! — rzucił krótko.

Wówczas Własł najpierw powoli, a potem z coraz większem ożywieniem stojąc ciągle na „baczność", począł mówić komendantowi o swych spostrzeżeniach, poczynionych podczas lustracji placówek. Długo, dokładnie opowiadał komendantowi o Dyngasie, o jego projekcie wprowadzenia nieprzyjaciela w zasadzkę, o pomieszczeniu karabinu maszynowego w opuszczonej chacie, o rowie, wreszcie, skąd mógłby wypaść nagły atak. Breda słuchał uważnie, czasem zanotował kilka słów na kartce papieru, czasem uważnie badał szkłem leżącą przed nim mapę, gdy zaś Własł skończył, rzekł:

— Dziękuję! Spisałeś się dobrze! O projekcie Dyngasa pomówię z podporucznikiem. Zobaczymy.

Właśt, ośmielony dobrotliwym tonem Bredy, wyrzucił z siebie nagle, zebrawszy na odwagę:

— Melduję posłusznie, mam prośbę, panie komendancie!

— Mów!

— Jeżeliby atak przyszedł do skutku, proszę bardzo, abym został przydzielony do atakujących z tego rowu.

— Powód?

— Melduję posłusznie: — w tej wsi mieszka mój ojciec, matka i rodzeństwo. Przypuszczam, że w razie ataku, zajmiemy tę wieś.

— Tam jest twój ojciec — rzekł powoli Breda, a potem dorzucił krótko:

— Jeżeli przyjdzie do ataku... Może... To jeszcze niezdecydowane. — Będę pamiętał.

Następnie począł się uważnie przypatrywać wyprostowanemu Właśtowi.

— Musiał cię wicher dobrze sprać... A zimny, zły jak pies... Na piecyku jest garnuszek z gorącą herbatą, w niej kilka łyżeczek rumu... Wypij!... A tu masz — mówiąc to Breda, wysunął prymitywną szufladę stołu — kromkę chleba i dwa proszki. Aspiryna i chinina... Zmieszaj to, zawiń w papierek cygaretkowy... Opłatka nie mam. Potem do gęby, na język i zapijesz tą szklanką gorącej herbaty... A po posiłku kładź się zaraz spać. Okryj się dobrze... Być może, że spać będziesz mógł tylko parę godzin...

— Rozkaz, panie komendancie!

W jakie pół godziny później Właśt drzemał już w swem niewybrednem łożu ordynansa. Nim dobrze zasnął, dostrzegał i słyszał, że komendant Breda i podporucznik Śmigło długo coś ra-

dzili, pochyleni nad mapą, słyszał również jeszcze dzwonienie telefonu i wołanie Bredy: Hallo! do aparatu. Widocznie komendant porozumiewał się z główną komendą. Niebawem jednakże Włast zasnął głębokim, chociaż niespokojnym snem. Śniło mu się, że znów jest pod ową czarną ścianą grupy drzew, niedaleko chaty Dyngasa. I znów dziwny głos, żartobliwe wołanie: pójdź! — wzywał go, a on drżąc z lęku, szukał źródła tego głosu, kryjówki tej ponurej „pójdźki", by w nią wypalić z karabinu na bliską mętę. Nie mógł jej dojrzeć jednak i widział tylko świecącą krwawo parę oczu, to tu, to tam ukazującą się na tle ściany drzew mrocznych. Wreszcie, zniecierpliwiony nowem wołaniem „pójdź", zmierzył szybko i strzelił. A wtedy krwawa para oczu rozpoczęła jakiś opętańczy, konwulsyjny tan na tle czarnej ściany... i nagle zgasła, poczem sciana mroku, jakby przechylona jakąś gigantyczną, niewidzialną siłą, poczęła się chylić, pochylać coraz bardziej w stronę Właста... Ten czuł, ze jeszcze dwie minuty, minuta, parę sekund, a runie nań i zmiażdży go. I nagle ze zgęstniałego gardła jego wydarł się straszny krzyk przerażenia... I Włast się obudził.

— Na, tego alarmować nie trzeba, sam się alarmuje, wrzeszcząc przez sen, jak warjat!

Przy legowisku Właста stało kilku jego towarzyszy broni w płaszczach, przy karabinach, jakby gotowych do natychmiastowego wymarszu.

Włast przecierał pięściami zaspane oczy, tarł czoło i przytomniał powoli.

— No, ten spał? Mogliby cię „Ukraińcy" za-

wieźć do Kijowa i dopiero w Ławrze Peczerskiej obudzić, a nie wiedziałbyś, jak to się stało! — kpił Stach Zasławski. — Ale teraz duchem, wdziewaj na siebie graty i przed budynek. Zbiórka! Za dziesięć minut pewno wyruszymy!

Właśt oprzytomniał zupełnie i począł się pośpiesznie ubierać, aby się przypadkiem nie spóźnić, tem bardziej, że słyszał dobrze w sąsiednich ubikacjach trzaskanie drzwiami, wielki ruch, tomotanie kolb karabinowych, jazgot broni, kląwy żołnierskie i ściszone leguńskie przyśpiewki.

Ubrawszy się i umywszy pośpiesznie zaspane oczy, jeszcze raz rzucił okiem, czy czego nie zapomniał, chwycił za karabin i wypadł na podworze.

Mimo przedporannej mgły gęstej, opadłej nisko na ziemię, nieprzenikliwej tak, że w odległosci kilkunastu kroków nic widać nie było, Właśt dojrzał wyciągnięty dwójkami początek dwurzędu, którego dalszy ciąg majaczył coraz mniej, a wreszcie rozpływał się w mgle i gubił.

Prędko wpadł w szereg pomiędzy kolegów.

— Alarm? — zapytał.

— Przecież widzisz — zamruczał jego sąsiad z prawej strony. — Wszystkich zerwali z barłogów... Żeby tylko nie nadarmo, jak to bywało...

— Gadasz głupstwa — mruknął drugi — jeżeli zerwali ze snu wszystkich, do tego, jeśli doliczysz nowych lwowskich, przyszło ich blisko setka, to jeżeli masz flaki w głowie, nie kapustę, to...

— Zdaje się będzie z naszej strony atak —

rzekł półgłosem Włast — mam takie przeczucie...

— Co tam babskie czucie, przeczucie — rezonował uparcie ów drugi. — To rzecz jasna! Któżby zrywał wszystkich dla hecy? Załóż się ze mną o dziesięć „szportów", że za pół godziny, najdalej za godzinę, będziemy już prali w „karaimów"... No, załóż się, przynajmniej będę miał co palić...

Dalszy ciąg sprzeczki przerwało nagłe pojawienie się porucznika Bredy, który szybkim krokiem wyłonił się skądś z szarzyzny mgły. Tuż za nim biegł prawie drobny podporucznik.

— Dwurząd podzielić na sekcje. Sekcyjni zbadają, czy wszyscy żołnierze mają, co należy... Każdy najmniej sto naboi...

— Rozkaz! — zawołał podporucznik.

Breda, idąc wzdłuż szeregu, ujrzał Właste. Zatrzymał się.

— Podporuczniku! Właste, jako sekcyjnemu, dać dwudziestu ludzi. Jego sekcja zostaje pod moją komendą!

Zwrócił się do Właste.

— Zlustrujesz moich ludzi... Który z nich rozumie się na granatach ręcznych, niech przytroczy kilka do pasa... Może się przydać... Potem czekać... Pójdziecie ze mną!

Niebawem, po krótkiej rozmowie Bredy z podporucznikiem, poczem ten ostatni w notatce spisywał polecenia komendanta, sekcja za sekcją poczęły opuszczać dwurząd pod wodzą swych sekcyjnych i ginąć w szarzyźnie mgły. Działo się to cicho, bez brzęku lub chrzęstu broni, gdyż Breda polecił zachować jak najwięk-

szy spokój i rozwagę. Niektóre sekcje miały karabiny maszynowe. Właśt naliczył ich pięć, wśród tych i sekcja, prowadzona przez Dyngasa. On sam zachmurzony, skupiony lustrował zawzięcie mały oddziałek swych ludzi, złożony przeważnie z legunów, a rysy jego łagodniały wtedy tylko, gdy spojrzeniem kochanka obejmował „maszynkę" na kółkach, rosyjskiego typu, powierzoną opiece dwu najtęższych z jego oddziału.

— Dopiął swego! — pomyślał Właśt, patrząc za oddalającym się i przepadającym w mroce mgielnej oddziałkiem Dyngasa.

Przyszła wreszcie kolej na sekcję Właśta. W dwudziestce jego ludzi przeważali studenci szkół średnich. Właśtowi jednakże podobał się jego oddział, znał prawie każdego ze swoich i wiedział, że żaden z nich nie „wyrwie" mu, gdyż wszystko to były zuchy mimo szesnastu lub siedemnastu lat z „przeszłością wojenną". Pstro wyglądali oni na oko i dość niepocześnie, gdyż każdy z nich ubrany był inaczej, ten w długich spodniach i watowanej bluzce, ten w butach z cholewami, ów znowu w krótkich „priczezach" sportowych i w długim studenckim, granatowym płaszczu, ten w barankowej czapce, ten w studenckiej czapeczce z narodową kokardką. Był nawet jeden w szturmowym hełmie, na który z zazdrością spoglądali jego współtowarzysze broni. Karabiny tylko mieli jednolite. Wszyscy manlichery, prawie jak z igły nowiusieńkie, zdobyte przed kilku tygodniami w magazynie na dworcu kolejowym po wyrzuceniu zeń „Ukraińców", przy boku bagnety, a w ła-

downicach, a nawet po kieszeniach moc naboi. Pięciu przynajmniej miało przy pasie ręczne granaty.

— Baczność! — zawołał Breda stanąwszy przed oddziałkiem.

Żwawo, inteligentnie wyprężyli się jak struny i wpatrzyli w twarz komendanta.

— Na pozycji zachowywać się cicho. Leżeć cierpliwie w pogotowiu i czekać. Gdyby nieprzyjaciel się pojawił, wyczekać cierpliwie i dopiero na jakich sto kroków Włast da znak salwą w niego. Niewolno wam ani cofnąć się, ani nieprzyjaciela dopuścić do zajęcia rowu! Dlatego w danej chwili salwa za salwą! Można także w razie potrzeby ręcznemi granatami! Pamiętać, zachować zimną krew, nie strzelać za prędko, tylko na krótki dystans! Zresztą, w razie ataku Ukraińców, będę prawdopodobnie przy was. A teraz za mną, cicho, dwójkami!...

Włast, słuchając uważnie poleceń Bredy, radował się w duszy, przekonał się bowiem, że zatwierdził jego, a raczej Dyngasa projekt, który, nim udał się spać, tak gorąco poruczniko-wi przedkładał. Że tak było, świadczyło o tem i to, że Dyngas odszedł z małym oddziałkiem i z „maszynką", by obsadzić zapewne ową chałupę, na torteczkę przekształconą.—My zapewne — pomyślał Włast — obsadzimy ów rów, który oglądałem, by oczekiwać w nim ataku „Ukraińców", a gdy Dyngas weźmie ich pod „maszynkę", zaatakujemy ich z naszej strony.

Wszystko wskazywało, że tak się stanie rzeczywiście. W niespełna pół godziny, idąc bardzo ostrożnie, oddziałek Bredy dotarł do ogląd-

danego przez Własta późnym wieczorem rowu i obsadził go. Na polecenie porucznika, młodociani wojacy ułożyli się w tym rowie w odległości dziesięciu kroków jeden od drugiego, nabiwszy przedtem i opatrzywszy starannie karabiny. Obejrzano również ładownice, bagnety, słowem uczyniono wszystko, czego przestrzegać się zwykło tuż przed spodziewanym atakiem. Ale czas wyczekiwania tej chwili dłużył się bardzo. Niejeden z żołnierzy, by zabić nudę wyczekiwania, cicho grzebiąc łopatką, usypywał tuż nad skrajem rowu przed sobą mały kopczyk z ziemi, by kryć głowę w razie ognia ze strony nieprzyjaciela, resztę bowiem ciała zabezpieczało dokładnie wgłębienie rowu. Niejeden znów wtopił przed siebie oczy w sino-popielate mleko gęstej mgły, ciekaw, czy czego nie dojrzy, niejeden wreszcie ułożywszy się jak najwygodniej, drzemał potrosze, pewny, że gdy będzie potrzeba, towarzysze lub strzały go obudzą.

Właśt dopiero teraz, zapomniawszy zupełnie o całej wieczornej przygodzie — tak podnieciło go realizowanie się jego planu — przypomniał sobie ową czarną ścianę drzew, która go tak była zaniepokoiła. Nie dostrzegł ani jej ani drzew grupy. Zatonęła ona w gęstej bieli mgły, a Właśt drwił w duszy, rozradowany ziszczeniem się jego planu, z całej wczorajszej przygody, błazeńskiej głupoty swego lęku i ze skomlącego wołania: — „pójdź", jakiejś tam cierpiącej na bezsenność sowy.

Zajęły go zresztą niebawem inne sprawy i odciągnęły jego myśli w zupełności od wczorajszych zdarzeń. Miał bardzo dobry słuch i za-

pewne pierwszy usłyszał kędyś w dali na samym froncie pierwszy strzał.

— Zaczyna się — zauważył półgłosem radośnie.

Ale nie szło to tak raźnie, jak sobie tego Włast gorąco życzył. Przez pół godziny jeszcze słychać było tylko pojedyńcze oderwane strzały. Potem dopiero rozpoczął się huk salw gromadnych, zgłuszonych, dochodzących zdaleka, a więc ze strony „Ukraińców".

— Dali się sprowokować! — zauważył Włast. — Atakują... Prosimy bardzo! Nasi, niby nie mogąc się im oprzeć, cofać się poczną... A chamy w te pędy... Żeby tylko „karaimy" stracili rozum i parli szybko naprzód...

Przypuszczenia Właste zdawały się urzeczywistniać, gdyż huk salw stawał się coraz gwałtowniejszym, donośniejszym, coraz bliższym.

Nagle w rowie, nieopodal Właste, pojawił się porucznik Breda.

— Nasi, — szeptał do leżących żołnierzy— podług rozkazu cofają się zboczami pagórka. Dlatego uważać, obserwować, aby przypadkiem nie strzelać do swoich. Może któryś wypadkowo cofać się grzbietem wzgórza... Czekać cierpliwie, nie gorączkować się, nie tchórzyć! Sam dam znać, kiedy rozpoczniemy kontratak!

Znów jakie pół godziny oczekiwania... Stawało się nieco jaśniej. Mgły zupełnie pokładły się na ziemię, a ponad niemi widać było, gdzie niegdzie szczyty drzew, a górą perłowo białe, jasne niebo. Zapowiadał się tem opadaniem mgieł po jasnem świtaniu dzień pogodny. Włast przywarł prawie twarzą do ziemi, wpijał oczy

wprost przed siebie, jakby chciał wzrokiem przedrzeć rzedniejące mgły i pierwszy dojrzeć zbliżającego się nieprzyjaciela. Raz czy dwa razy dojrzał nawet pojedyńcze postacie, cofające się pospiesznie pośród zarośli i krzewów. Domyślił się, że byli to polscy żołnierze. Niebawem pojedyńczo, a nawet po kilku poczęli się oni coraz częściej, pojawiać. Ostrzeliwali się w stronę nieprzyjaciela i cofali się wstecz. Kilku z nich cofnęło się do rowu Własta i ci przynieśli wiadomość, że „Ukraińcy napierają bezmyślnie masą, upojeni zwycięstwem. A huk salw stawał się coraz gwałtowniejszym! Kule nieprzyjacielskie poczęły z sykiem i gwizdem przelatywać nad rowem, wiele z nich ryło ziemię w odległości zaledwie kilkunastu kroków przed rowem.

Nagle Włast ujrzał na jakichś dwieście kroków przed sobą, wychylającą się z gęstwiny krzaków baranią czapę „petlurowca". Chciał już chwycić za broń i strzelić, ale na szczęście przypomniał sobie wczas o zakazie porucznika. „Petlurowiec" stał chwilę. Widocznie był to jakiś „starszy", gdyż szkłami począł badać przestrzeń przed sobą a potem się cofnął. Snać, badania jego nie obudziły w nim żadnego podejrzenia, gdyż niebawem ukazała się wyszedłszy z gęstwiny krzaków gromadka „Ukraińców", licząca około dziesięciu osób. Byli tam „petlurowcy", i „siczownicy"; co Włast dokładnie rozróżnić mógł już gołem okiem.

— Mgła prawie zupełnie opadła — pomyślał. — Będzie dobrze atakować...

Stali dość długo i naradzali się. A potem na

dany gwizdkiem sygnał wychodzić ich poczęło z gestwy krzaków coraz więcej. Niebawem gromadka dziesięciu wzrosła do liczby kilku nieledwie setek.

Porucznik Breda biegnąc o ile możności szybko, wpół zgięty, rowem, wołał przenikliwym, rozkazującym szeptem:

– Nie strzelać! Dopiero gdy zaczną atakować... Dam sygnał gwizdkiem... A wtedy salwa za salwą, bez przerwy, bez przerwy!... Dam im teraz znać, gdzie jesteśmy...

Był właśnie przy Właście.

— Daj karabin! — rzekł, położywszy się przy nim.

W leżącej pozycji celował długo, na zimno, ostrożnie. Wypalił wreszcie. Właśt ujrzał, jak zakotłowało pośród Ukraińców, a jeden z nich runął bezwładnie na ziemię. Krzyki jakiejś komendy, rzucenie się wszystkich na ziemię i gwałtowna salwa wprost w rów, skąd wypadł strzał.

Breda zerwał się z leżącej pozycji.

— Kryć się w rowie!... Uważać!... Nie strzelać...

A od strony nieprzyjaciela łomot salw rósł coraz bardziej, dochodząc do maksimum natężenia. Kule jęły ryć skraj rowu, rozbijać kopczyki ziemi niedawno przez ostrożniejszych sporządzone. Nie przynosiło to jednak atakowanym faktycznej szkody, prócz zdenerwowania, bo żołnierz osunął sie w głab rowu, gdzie kule dosięgnąć go nie mogły. Właśt tylko nie zwracał uwagi na ogień Ukraińców. Z jakąś nonszlancją młodzieńczą, odważnie, wychyliwszy nieco głowę z za kopczyka ziemi, obserwował,

co się wśród nieprzyjaciół dzieje. Drugim pilnym obserwatorem był porucznik Breda, który jednakże czynił to ostrożnie, z zimną krwią, z dokładnością doświadczonego żołnierza.

Po pewnym czasie salwy karabinowe z ukraińskiej strony tracić poczęły na gwałtowności, a ponieważ ze strony polskiej wcale na nie nie odpowiadano, ucichły zupełnie. Zapewne nieprzyjaciel doszedł do przekonania, że Polacy cofnęli się ze swych pozycyj. I rzeczywiście musiało się tak im wydawać, gdyż zerwali się ze swych legowisk i biec poczęli w stronę polskiego rowu.

Rozległ się przejmujący gwizd Bredy.

Wszyscy jego ludzie w tejże chwili byli na swych stanowiskach i chwycili za karabiny.

Nieprzyjaciela pędzącego masą do ataku widać i słychać już było. Wyjąc przeraźliwie, pędził tłum żołnierzy przeważnie w kożuchach i baranich czapach lub w byłych brudnych austrjackich mundurach wprost na rów polski.

Zbliżyli się na jakichś sto pięćdziesiąt kroków.

Breda jeszcze czekał, mimo że żołnierze jego w zdenerwowaniu oczekiwania kurczowo przyciskali do ramion kolby złożonych do strzału karabinów.

Wycie pędzących do ataku Ukraińców stawało się coraz gwałtowniejsze, coraz ohydniejsze. Przodem samym pędził jakiś olbrzymi sołdat w baraniej czapicy, z karabinem w lewej łapie, prawą zaś wzniósł do góry i dodawał, ryczą̨c, odwagi pędzącym za nim. Barania czapa zesunęła mu się w tył głowy, a wreszcie spa-

dła odsłaniając rozwichrzone rude kudły. Oczy miał wybałuszone, a gębę wciąż otwartą wśród zwierzęcego wrzasku.

— Jaki on śmieszny — przemknęło błyskawicznie przez mózg Własta.

Przeraźliwe, silne trzy gwizdy porucznika Bredy.

Równocześnie z trzecim gwizdem łomot salw zahuczał w polskim rowie i dymy, które chwilowo wszystko przysłoniły, bałwałnić się kłębami nad nim poczęły.

— Ognia, ognia! Wal! Bez przerwy! — krzyczał donośnie Breda, uwijając się po rowie.

Huk salw bez przerwy zlewać się począł w jakiś potworny ryk, gdyby grzmotu.

Własт strzelał, strzelał, nabijał, znów strzelał, nie zdając sobie sprawy w tym piekielnym łomocie, co się wokół niego dzieje.

— Ognia, ognia! Bez przerwy! — krzyczał Breda.

Niepotrzebna, zdaje się, była ta komenda. Każdy z załogi rowu czuł, że jeżeli salwami nie wstrzyma wroga, natenczas ten za chwil kilka lawiną rozwścieczony zwali się w rów, by wszystkich skłuć bagnetem, lub rozbić na miazgę kolbami karabinów. Dlatego też strzelano szalenie szybko, z dziwną samozachowawczą zawziętością.

Ale Breda, zupełnie teraz, w tej krytycznej chwili nie dbający o swoją własną osobę, do połowy ciała tylko ukryty w rowie, strzelając z zimną krwią z browninga w najgęstsze kupy Ukraińców, niepokoić się poczynał i nadsłuchiwał, czy nie odezwie się karabin maszynowy

Dyngasa, który jeden mógł wstrzymać atakującą hordę, znajdującą się już na jakichś kilkadziesiąt kroków od rowu.

Sekunda za sekundą szły ołowianym krokiem.

— Ognia, ognia! Nie cofać się! Ognia, chłopcy!

Nagle rozległ się głuchy warkot, a równocześnie w dalszych gromadach atakujących Ukraińców dziać się poczęło coś dziwnego. Zaczęli oni zamiast pędzić naprzód, kłębić się, mieszać, wstrzymywać, cofać wtył, a nawet rzucać o ziemię karabiny i w panicznym strachu pędzić zpowrotem do krzewów, z których byli wyszli. Wielu z nich do tych gąszczy nie dobiegło jednak. Padali, jakby kosą ścięci, niektórzy upadłszy zrywali się, biegli chwilę w jakichś dziwnych, konwulsyjnych podskokach, by za chwilę paść znowu i nie powstać więcej.

A ci pędzący na przedzie, po pewnej chwili poczęli się orjentować, co się na ich tyłach dzieje. Nie zdawali sobie sprawy, że to ktoś z boku, przypuściwszy część, tyine szeregi atakujących „czyści maszynką", sądzili, że Lachy zaszli im tyły, i w panicznym lęku, osadziwszy atak na miejscu, bezmyślnie rozpierzchać się na boki i wtył cofać poczęli.

A z polskiego rowu nieustannym gromem szły salwy.

Wtem ucichnął nagle warkot karabinu maszynowego i prawie równocześnie rozległ się krzyk Bredy:

— Za mną! W nich! Do ataku!

Nie zdając sobie sprawy, w jaki sposób,

Właśt był już zewnątrz rowu i ściskając oburącz karabin, złożony do pchnięcia, pędził pochylony wprost przed siebie w kierunku kłębiącej się, pierzchającej nieprzyjacielskiej masy.

Słyszał, że z nim, obok, za nim pędzą jego towarzysze, nie myślał jednak o tem, w głowie płonęła mu tylko myśl:

— Odebrać im wieś!

Pędząc, przewalił się przez drgające ciało jakiegoś „petlurowca", zerwał się zaraz i pędził dalej, krzycząc z całych sił.

Nagle uczuł ogniste ukłucie w lewą skroń, czarne koła zawirowały mu przed oczyma... i runął na ziemię...

— — — — — — — — — — —

— A tośmy im dosolili! — mruczał Dyngas, cały oczerniony sadzą i brudem, zacierając ręce i zazierając przez otwór w ścianie swej forteczki.

I rzeczywiście, Ukraińcy cofali się, a raczej uciekali bezładnie, mimo dziesięciokrotnej liczebnej przewagi, pierzchali bezprzytomnie, rzucali broń, mimo, że łatwo mogli się wstrzymać i odeprzeć atak wobec garstki atakujących. Ale panika, ów straszny wróg, zdziałała swoje. Przerażenie uwielokrotniało w ich oczach i mózgach liczbę nieprzyjaciół. Zdawało im się, że mają go wszędzie wokół siebie, i dlatego ratunku szukali w ucieczce.

To też niebawem, prócz leżących na przedpolu rowu zabitych, nie widziało się już żadnego Ukraińca. Atak przeniósł się dalej, może nawet do wsi, gdyż wkrótce na horyzoncie zaja-

śniała łuna, coraz bardziej rosnąca. To cofający się nieprzyjaciel znaczył kulturalnie drogi swego odwrotu...

Dyngas zadowolony wyszedł ze swej chaty.

— Zajrzę do rowu — pomyślał.

Począł iść w kierunku opuszczonego przez atakujących Polaków rowu, co chwila zatrzymując się przy jakimś z leżących, martwych Ukraińców, których zwłoki gęsto rozsiane były na przedpolu.

— Żaden już nie zipnie — uśmiechnął się — dobrze nasi walili.

Nagle wstrzymał się, ujrzawszy nieopodal kępy drzew leżącą jakąś nawznak postać.

— Zdaje się, że to nasz — zauważył i pośpieszył do leżącego.

Pochyliwszy się, poznał w leżącym Własta.

— Masz tobie — warknął — a to go namówiłem... Na drugi świat...

Przywarł twarzą i uchem do serca leżącego.

— Może jeszcze dycha...

Szybko rozpiął płaszcz, studencką bluzę i koszulę Własta. Na piersi wlał mu z nieodstępnej zawsze w chwilach ataku flaszki wódki nieco płynu i począł nacierać serce leżącego.

— Dostał kulę w skroń... Ciężka rzecz — mruczał, oglądając równocześnie Własta.

Po chwili zdawało mu się, że usłyszał cichutki jęk...

Własт rzeczywiście budził się do życia. Świadomość na chwilę z głębin ciemności wracać poczęła do jego mózgu powoli, powoli. Nie wiedział, gdzie jest, co się z nim dzieje, ale odczuwał coraz wyraźniej nieopisany, określić się

nie dający ból w głowie. Było mu, jakby mu kto cała czaszkę rozbił na strzępy. Jęczał cicho...

Powoli otwierał oczy, bardzo powoli i przymykał je, raziło go bowiem światło... Wreszcie otworzył je szerzej, jeszcze szerzej... i ujrzał przed sobą czarną ścianę drzew... Wówczas przypomniał sobie ów jęk: — „pójdź" i począł się z dziwnym, przedśmiertnym uporem wpatrywać w czerń bezlistnych drzew listopadowych, jakby szukał wśród nich tej pójdźki, wróżychy śmierci.

I oto... zimno i żar bić zaczęły w jego obolałe skronie.

Ujrzał na jednem z drzew, na grubej gałęzi wiszącą na sznurze jakąś postać ludzką... Mimo straszliwego bólu, zbierał resztki sił, by rozpoznać ją dokładnie... I oto widział, widział dokładnie: — siwa kapota... na niej plamy rdzawe... bose nogi — ktoś buty ściągnąć musiał... Siwa kapota, tak dobrze mu znana... kapota jego ojca. A nad nią głowa... W miejscu ust zakrzepła jama krwi... W miejscu oczu dwie krwawe plamy... A nad tem tak dobrze mu znane czoło i gęstwa przystrzyżonych, siwych włosów... Jego ojciec... Tak, jego ojciec!

Zebrał raz jeszcze rwące się myśli... Podniósł się nieco z trudem, wskazał ręką i wrzasnął obłąkańczo:

— Ojciec!!

Coś załomotało mu w skroni, czuł, że leci w otchłań czarną... Rzucił się wtył. Nie żył.

Dyngas wpatrzony weń i pochylony nad nim, słysząc ten wrzask, obejrzał się za siebie w kierunku wskazanym przed chwilą przez zmarłego.

Na jednem z drzew wisiał rzeczywiście jakiś człowiek. Dyngas podszedł bliżej, zastanawiał się chwilę, potem osadził się szeroko na nogach, wyjął browning, celował uważnie dwukrotnie — i strzelił.

Trafił w gałąź tuż przy pętli sznura. Trup ze złamanej gałęzi runął ciężko w dół.

Dyngas obrócił go nawznak i mimo, że widział w swem życiu niejedno, cofnął się wtył. Wisielec miał wycięty język, wykłute oczy. Sople skrzepłej krwi sterczały na jego siwych wąsach, na okaleczałych oczodołach i plamami rdzawiły kapotę.

Przemógł się i począł przeszukiwać kieszenie wisielca.

W jednej z nich odnalazł z trudem list w zabrukanej kopercie, a na niej adres:

Piotr Włast, uczeń szkoły realnej,
żołnierz polski...

Rozerwał kopertę i wyjął list.

Czytał:

Kochany Synu!

Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus! Od jednego z naszych dowiedziałem się, że jesteś w wojsku polskiem. Piszę, żebyś wiedział, że ci błogosławię i ja i matka na tej nowej drodze. Uważaj tylko na siebie. Niech cię Matka Boża ma w opiece. List jakoś sam zaniosę na nasz front.

Mikołaj Włast.

— Teraz rozumiem — warknął Dyngas. — Wczoraj pod wieczór te bestje hajdamackie

musiały go gdzieś pochwycić i urządzili mu krwawy bal... Psie krwie!... No, aleś już razem ze swoim synem, mój poczciwy stary... a te bestje dostały dziś za was obu, co im się należy!

Zdjął czapkę, pochylił się, ucałował skostniałą rękę wisielca, potem wstał, splunął rubasznie, wyprostował się i zachmurzony, nie oglądając się za siebie, powrócił do swej chaty.

DEBIUT PANA NADRADCY

HUMORESKA

Działo się to w 1918 roku...

— — — — — — — — — — —

Ktoś zadzwonił siarczyście.

Pani radczyni aż podskoczyła na krześle z przerażenia i zdenerwowania, a panna Fruzia, jej córeczka - podlotek, pośpieszyła do przedpokoju.

— Nie zdejmuj tylko łańcucha bezpieczeństwa! — wołała za nią pani Hortensja, oprzytomniawszy. — Najpierw się przekonaj... Może to ukraińcy, socjaliści, albo bandyci...

Płonne jednak były obawy pani nadradczyni. To jej czcigodny *małżonek*, *pan nadradca* Drżączka, wszedł po chwili we własnej osobie do pokoju. Pani nadradczyni o mało nie strąciła z kolan młynka od kawy, na którym mełła była właśnie z nabożeństwem „pęcak" na „mąkę". Albowiem pan nadradca Drżączka wszedł wprawdzie we własnej osobie, ale ta własna jego osoba zupełnie inną była, aniżeli zwyczajnie. Postać wyprostowana, pierś podana wprzód, jak u siłacza lub zapaśnika w chwili fotografowania, spojrzenie władcze, a nawet groźne, były

to cechy dotychczas nie spotykane u pana nadradcy.

Głos jego uległ również zasadniczej zmianie. Dotychczasowy organ jego obleśnie - słodkawy, w myśl dewizy austrjackiej: „höflich sein, alles versprechen, nichts halten", nabrał tonów szorstkich, energicznych, rozkazujących.

— Hortensjo, — zawołał, — świeża bielizna, zaraz! Dwie koszule! „Jaegerowska" i biała, tak samo dwojakie inekspymable, „jaegerowskie" i te w paski. Fruzia!... Nie gap się!... Dwie pary pocerowanych skarpetek zimowych...

Pani Hortensja patrzyła z przerażeniem na męża.

— Co tobie?... Poco?... Naco?... — pytała trwożnie.

Ale pan nadradca nie pozwolił sobie przerwać.

— I ubranie moje zimowe i trzewiki „bergsteigery" i sztylpy... Czyście słyszały?!...

— Co tobie się stało?

Pan nadradca spojrzał litośnie a pogardliwie na swą połowicę, następnie, wyprostowawszy się jeszcze bardziej, wyrzekł powoli a silnie, z namaszczeniem, uroczyście:

— Jestem obywatelskim milicjantem!

— Tato?... Policjantem?!...

— Milicjantem! — poprawił pan nadradca. — Dobrowolnym, nieprzymusowym, z własnej woli... Spełniam obywatelski czyn!... Dziś każdy swój obywatelski czyn spełnić musi... Tak jest! Każdy!... Czy słyszycie?

— Oby...watelski... czyn — powtórzyła niemal nieprzytomnie pani Hortensja.

Nadradca Drżączka zatrzymał się chwilę, czekając na efekt swych słów, a następnie ciągnął dalej, jeszcze bardziej uroczyście:

— Tak, każdy spełnić musi swój obywatelski czyn... Felek, mój syn nieodrodny, acz jest w czwartej klasie, już go spełnia i broni Lwigrodu, tej perły Kresów, na peryferjach miasta... On na peryferjach, a ja... w centrum...

Pani nadradczyni, oprzytomniawszy, wpadła w ton perswazji.

— Ależ, mój drogi! Nadradca... milicjantem?

— Każdy musi czynić, co jest jego obowiązkiem... Nawet radca dworu Ślamazarski wstępuje do milicji...

— Ależ tato nie umie strzelać!

Pan nadradca, nie mówiąc nic, wyciągnął z kieszeni browning i skierował go w stronę bujnego biustu pani Hortensji.

— Jezus, Marja! Djonizy, czyś oszalał! — zawołała pani Hortensja, zrywając się z krzesła i strącając przy tej sposobności papierową torebkę z pencakiem na podłogę. — Dyziu, nie rób głupstw, nie rób głupstw...

Pan nadradca zaśmiał się demonicznie, a potem, mierząc pokolei w cztery kąty pokoju, rzekł ze stanowczą pewnością:

— Znakomita broń... Pierwsza marka... Osiem strzałów... A jak bije!... Paf, paf! — i ośmiu Ukraińców unieszkodliwionych na zawsze...

— Aż osiem naboi?... Tatusiu, proszę mi ostrożnie pokazać.

Pan nadradca nieco się stropił.

— Ten tego... nie mam ich przy sobie... Te, które miałem, wystrzelałem do celu... Tak jest,

do celu... na strzelnicy... na naszej strzelnicy... Po drodze wstąpię po naboje do naszej zbrojowni...

— A jak się nabija?

— Nadzwyczaj łatwo...

Tu pan radca począł manipulować przy browningu niezwykle długo, ciągnąć, przyciskać, ale browning nieposłuszny nie zważał wcale na jego nieumiejętne usiłowania.

— Tato tego nie potrafi...

— Głupiaś! Szło mi wyśmienicie... Ale zapomniałem mechanizmu... Bardzo skomplikowany... Idąc na strażnicę, wstąpię do naszego rusznikarza...

Ujrzawszy zaś uśmiechnięte i pełne niedowierzania miny żony i córki, popadł w zmieszanie, które usiłował pokryć nieco sztuczną pasją.

— Czemu się przypatrujecie?... Róbcie, co poleciłem!... Babska ciekawość... Od broni trzeba być zawsze zdaleka, o wypadek nie trudno...

— Przecież nie nabity...

— Jeden nabój niewystrzelony — zblagował jak po maśle pan nadradca.

Podziałało to piorunująco. Pani Hortensja i Fruzia odskoczyły od pana Djonizego.

Pan nadradca powrócił znów do swej wojowniczej pewności siebie. Browning położył z hałasem na stół, wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegarek i krzyknął:

— Za pół godziny muszę być w naszej strażnicy, aby stanąć na odpowiedzialnym posterunku!... Śpieszcie się, do licha!

*

Gdy pan nadradca Drżączka wszedł, odziany jak na wyprawę podbiegunową, do strażnicy milicji obywatelskiej, zastał już w niej zebranych kilka osób.

Skoro tylko drzwi otworzył i wkroczył do wnętrza, z grupy tych osób oderwała się jedna i w lansadach, podskokach i ukłonach podbiegła doń szybko. Był to naczelnik strażnicy, w milicji obywatelskiej przełożony pana nadradcy a w biurze uniżony jego podwładny, dla którego stanowisko nadradcy rachunkowego zdawało się być czemś nieosiągalnem, o czem nawet marzyć się nigdy nie odważył.

— Co za zaszczyt, co za cześć, panie nadradco dobrodzieju — wołał patetycznie i w lansadach ciągle pan naczelnik Giętkoszyjski. — Panowie, obywatele, raczcie pojąć radość moją — zawołał, zwracając się do zebranych. — Panowie, raczej obywatele, oto nowy członek milicji, najczcigodniejszy pan nadradca Drżączka... Nadradca namiestnictwa, obywatele... Panowie, obywatele, panowie pozwolą, że właśnie w obecności najczcigodniejszego pana nadradcy wygłoszę zdanie: — Będzie Polska, co mówię jest Polska, jeśli w chwili jej odrodzin nawet pan nadradca... Bohaterstwo i poczucie obowiązków obywatelskich, obywatele, zatacza coraz szersze kręgi... Tak jest, panowie, obywatele, najlepszym tego dowodem właśnie fakt, że pan nadradca...

— Ta może już dość — mruknął, rzeźnik z zawodu, pan Bombowski — zachwala pan nowy towar, jak Żyd...

Skonsternowany tą uwagą, której pan nad-

radca Drżączka nie słyszał, naczelnik Giętkoszyjski zamilkł, poprzestając na bezgłośnych ukłonach.

Ta powitalna oracja podobała się bardzo panu nadradcy. Zbliżył się więc do naczelnika Giętkoszyjskiego, poklepał go protekcjonalnie po ramieniu i rzekł skromnie: — O panie Giętkoszyjski, spełniłem tylko mój obowiązek... A teraz oddaję się pod komendę pana...

Następnie zwrócił się do obecnych i rzekł w miarę serdecznie, a w miarę wyniośle: — Miło mi poznać i powitać panów, w których waleczne szeregi danem mi jest wstąpić pod naporem własnowolnego obowiązku.

I podszedł do każdego z obecnych, podając im nieco protekcjonalnie rękę na powitanie, przyczem, gdy ci wymieniali swe nazwiska, nie omieszkał rzec z odpowiednią intonacją: — Nadradca namiestnictwa, Djonizy Baltazar Drzączka.

Nie wszyscy jednak milicjanci zapatrywali się na osobę pana nadradcy z takiem uwielbieniem, jak pan naczelnik Giętkoszyjski.

Pan Sciągaczek, szarolicy, mizerny człeczyna, szewc z zawodu, i pan Bombowski, wspaniały peryferją swego brzucha, badawczo i krytycznie przyjrzeli się postaci pana nadradcy Drzączki i poczęli krytycznie szeptać między sobą:

— Jak on dmucha, gdy gada, ten nadradca — zauważył pan Ściągaczek. — Zobaczymy, czy ten nadradca poradzi sobie, gdy w nocy natknie się na „polskiego brata" na ulicy, co to bez ochyby majchrem pchnąć zechce... — He,

he — zaśmiał się nieco za donośnym głosem pan Bombowski — da se rady, ta czemu nie, wyrwie — a „polski brat“ ostanie... Rzetelnie mówię, panie Ściągaczek.

— Nu, ta pewno... Co jenszego jeden z naszych, co był, tak jak ja, na taljańskim froncie, gdzie nie było szpasu... Taki nie ma boja...

Pan Pronajko, rewident kolejowy, nie tak ultrakrytycznie odnosił się do osoby pana nadradcy Drzączki. I jemu pochlebiało przecież, że na strażnicy „koleguje“ z nadradcą, wobec czego bardzo uprzejmie rozmawiał z panem nadradcą Drzączką, a nawet po chwili, zniewolony do tego sprytnie przez pana nadradcę, począł mu objaśniać, wziąwszy jeden z karabinów, stojących pod ścianą, jak tenże się nabija.

Pan nadradca Drzączka, który nigdy w życiu nie oglądał z tak bliska karabinu, słuchał z ukrywanem nabożeństwem wykładu pan Pronajki, a przedewszystkiem starał się jak najdokładniej zapamiętać, jak „bezpiecznik“ się zamyka, aby karabin nie mógł wystrzelić.

— Bo to, panie tego, z bronią należy być ostrożnym — zauważył. — Można się przypadkowo, pędząc za nieprzyjacielem, pośliznąć, panie tego, upaść a broń może wtedy wypalić... Znam nawet takie tragiczne wypadki...

Szmer rozmów przerwał głos pana naczelnika Giętkoszyjskiego.

— Panowie, że tak rzekę, obywatele, za pięć minut dziesiąta. O dziesiątej zaczynamy nasze żmudne urzędowanie. Czy wszyscy już jesteśmy panowie, obywatele?

— Brak, jak zwykle, hadwokata.

— Mecenas Eugeński nadejdzie — uspokoił pana Bombowskiego naczelnik. — Widziałem go przed południem... Zapowiedział, że spóźni się nieco...

— No tak, — zauważył złośliwie pan Ściągaczek — najpóźniej przychodzi, a z ulicy, gdy patroluje, chyłkiem wyrywa pod kołdrę...

Ale nie domówił jeszcze tych słów, gdy nagle drzwi się otworzyły szeroko, i z widocznym pośpiechem wpadł na strażnicę dr. Eugeński.

— Najusilniej przepraszam obywateli za to małe opóźnienie spowodowane nieodzowną koniecznością... Tak jest, nieodzowną... Przed minutą jeszcze miałem konferencję prawną z trzema moimi klijentami...

Był to młody człowiek, liczący lat trzydzieści kilka. Na nosie złoty cwikier, krótka futrzana kurtka, z bobrowym kołnierzem, bobrowa czapka w ręku. Był dobrze ośnieżony. Na eleganckich „priczezach" miał skórzane sztylpy, trzewiki ciemno-brązowe o grubej podeszwie. Uprzejmie podszedł do każdego z obecnych i podał mu rękę. Nadradcy Drzączce przedstawił się i rozpoczął z nim pogawędkę.

— Dziwi mnie to, panie nadradco, że zdecydował się pan na uciążliwy trud patrolowania po nocy... Nietylko to nużące, nieprzyjemne, ale i nie zupełnie bezpieczne... Co innego ja... Musiałem...

— Jakto?

— Gdybym nie był w milicji, musiałbym być w wojsku, nie mam jeszcze czterdziestu lat... a wtedy moje interesa wzięłyby całkowicie w łeb... A tak, choć z musu co trzecią noc się nie

wyśpię, ale mogę pilnować mych interesów... Zresztą — dodał uśmiechając się — taka służba w milicji, to także rodzaj reklamy dla młodego adwokata...

Pan nadradca Drzączka był niemal oburzony.

— Ależ, panie mecenasie, to, to... I tak mówi pan w chwili, gdy cała społeczność winna się poczuwać do nieodzownych obowiązków, gdy niemal dzieci walczą na froncie...

— Walczą dlatego właśnie, że są dziećmi... Brak krytycyzmu...

Pan nadradca Drzączka zamierzał właśnie zbić doszczętnie zuchwałe rozumowanie d-ra Eugeńskiego, ale rozmowę ich przerwał naczelnik.

— Jesteśmy w komplecie, a właśnie jest dziesięć minut po dziesiątej... Nasz demokratyczny ustrój pozwala mi na to, by trzech z obywateli zgłosiło się samorzutnie do patrolowania po ulicach... Trzech innych i ja pozostajemy na strażnicy, aby po trzech godzinach ich luzować...

— Ochotnie pójdę patrolować — zgłosił się silnie pan nadradca Drzączka.

— I ja mogę również — dorzucił dr. Eugeński.

— Może jako trzeci będzie łaskaw pan Pronajko?

— Chętnie — oświadczył tenże.

Powstał chwilowy zamęt na strażnicy. Mający patrolować, wybierali karabiny, naczelnik Giętkoszyjski doręczył każdemu z powagą po kilka naboi, i wyjaśnił po których ulicach ma każdy z nich patrolować.

— Chodźmy — rzekł dr. Eugeński. — Pa-

trolowanie będzie dziś nie bardzo miłe, bo silny wicher dmie i śnieg zaczął padać... Ale nie poradzi na to...

— W takim czasie najłatwiej zetknąć się na ulicy z niebezpiecznym włóczęgą, lub nawet szpiegiem — zauważył z namaszczeniem Giętkoszyjski. — Proszę pilnie patrolować i interwenjować w razie potrzeby...

*

Noc była nietyle mroźna, śnieg bowiem padał gęstemi płatami, ile wietrzna i skutkiem tego dla patrolujących bardzo dokuczliwa. Płaty śniegu, gdyby olbrzymie białe motyle, widać było najlepiej w okręgu światła latarni, świecących niespokojnym, ale i mdłym zarazem płomieniem, jakość gazu świetlnego bowiem, z powodu braku węgla w gazowni, z dniem każdym stawała się lichsza. Dr. Eugeński jeszcze przed wyjściem ze strażnicy postawił wysoko bobrowy kołnierz swego futerka i zasunął głęboko czapkę na głowę, tak, że z twarzy jego dostrzec można było zaledwie oczy i koniec żarzącego się, pod zadartym nieco nosem, cygara. Bohaterski pan nadradca Drzączka, pragnący przed chwilą iść „na sam front", jak się był zwierzył panu Pronajce, nie był na tyle przezorny, to też wnet barankowy kołnierz jego zimowego palta doszczętnie był śniegiem oblepiony i cała twarz lepkim śniegiem osypana. Zreflektował się dopiero poniewczasie i podniósł kołnierz do góry, ale śnieg na kołnierzu zgromadzony, topniejąc zwolna od ciepła twarzy, począł osuwać się

i ściekać za kołnierz koszuli, aż na „jaegerowski" kaftanik, którego zadaniem nie było wcale stać się po pewnym czasie chłodnym kompresem dla wydelikaconego w zaduchu biura, mieszkania lub knajpce jego biurokratycznego ciała. Sprawiało mu to dreszcze, ale pan nadradca nie okazywał tego wcale po sobie, przeciwnie nadrabiał miną, poprawiał pas zsuwającego się mu ustawicznie z ramienia karabinu i rzekł zwracając się do swych towarzyszy.

— Pasjami lubię takie śnieżyste, wietrzne noce... Taka walka z przyrodą rozgrzewa krew i robi człowieka o dziesięć lat młodszym!

— Wolałbym siedzieć teraz w ciepłym pokoju przy dobrej kolacji, aniżeli tak się odmładzać — zamruczał mecenas.

Na rogu ulicy trzeci z patrolujących, rewident kolejowy pan Pronajko, przystanął, by pożegnać się z nadradcą i mecenasem. Miał on patrolować na ulicy ciągnącej się na prawo, mecenas Eugeński miał dążyć dalej przedłużeniem ulicy, przy której była strażnica, nadradca Drzączka wybrał sobie długą, wąską uliczkę na lewo, zaznaczając słusznie, że na niej należy jak najstaranniej patrolować.

Gdy rewident Pronajko oddalił się na jakich pięćdziesiąt kroków, mecenas Eugeński zwrócił się do pana nadradcy Drzączki.

— Pójdę razem z panem, zawsze to lepiej być we dwoje i weselej i bezpieczniej. Zresztą przez tę uliczkę najbliżej do ulicy, przy której mieszkam. Muszę zaglądnąć do siebie na parę sekund. Oczekuję wiadomości pisemnej od mego klijenta w bardzo ważnej sprawie.

— A ta ulica, której ma pan mecenas pilnować?...

— Nic się jej nie stanie, panie nadradco!

— Jakto?

— Mówmy serjo, panie nadradco. Przecież to wszystko piramidalnie śmieszne. Bo, proszę pana, co ja poradzę, jeżeli się natknę na jakiego podchmielonego wojaka, na jakiego podejrzanego osobnika, lub na jakiego bandytę. Ja, mecenas Eugeński. — Powinienem każdego z nich według regulaminu milicji zatrzymać i odprowadzić na strażnicę. Ale do tego potrzeba dwu rzeczy: Taki jegomość musi się pozwolić zatrzymać i zgodzić się na to, bym go na strażnicę odprowadził. Tymczasem podchmielony żołnierz, przy dobrym humorze, pchnie mnie zamiast tego bagnetem, podejrzany z pewnością ucieknie, no, a bandyta zwali mnie w najlepszym razie w nos pięścią, jeżeli nie pomaca mych żeber ostrym majchrem.

— Ależ pański karabin

— Panie nadradco — karabin? — on w moich rękach jest tem samem, czem koromesło, lub niezgrabny parasol. Dotąd jeszcze nie wiem, nie zastanawiałem się zresztą nad tem nigdy, jak to się nabija, poco są te zatrzaski, bezpieczniki, muszki i t. d. Ja wogóle brzydzę się strzelaniną. Z mego karabinu jest chyba ta korzyść, że może mnie z niego zastrzelić każdy, ktokolwiek tego zapragnie. Dlatego nigdy go nie nabijam. Więc konsekwentnie ustępuję każdemu z drogi. Jeśli idzie jaki rozśpiewany, podchmielony żołnierz, lub jaki podejrzany samotnik, kryję się pośpiesznie do najbliższej bramy i wychodzę na ulicę

dopiero wtedy, gdy taki pasażer z oczu mi zniknie. Poco mi awantur. Ja wogóle mam wstręt do wszystkich awantur i nie znoszę donkiszoterji.

Pan nadradca, acz mdliło go nieco, gdy słuchał o niebezpieczeństwach, na jakie narażona jest osoba milicjanta podczas swej obywatelskiej służby, rzekł głosem w miarę oburzonym:

— Poco właściwie wstąpił pan, panie mecenasie, do milicji obywatelskiej?

— Ależ panie nadradco, milicja ma również swoje „Lichtseiten". O dwu już wspomniałem: wyratowała mnie od służby w prawdziwem wojsku, no, i jest patrjotyczną reklamą dla młodego adwokata. Po trzecie, o ile źle, a czasem niebezpiecznie, być milicjantem w nocy, o tyle w czasie dnia opaska milicyjna przynosi realne korzyści... Najpierw wygoda: nie potrzebuje się pan legitymować przed nikim, a sam może pan tego żądać od innych. Potem korzyść: jeśli się kupuje coś z opaską na ramieniu, natenczas nie musi się wystawać godzinami w „ogonku", prócz tego zaś na widok opaski, nawet najzatwardzialszy paskarz mniej milicjanta zedrze, aniżeli zwykłego śmiertelnika. — A ile wygód i korzyści zyskuje milicjant, jeżeli jest równocześnie sam paskarzem, tego, zdaje się, przypominać nie trzeba.

Wywody mecenasa trafiały na grunt podatny. Pan nadradca bronił się jeszcze resztką sił, lecz czując, że należy oponować, rzekł:

— A więc pan mecenas uważa obywatelską instytucję milicji, za zupełnie chybioną?

— Nigdy tego nie twierdziłem — zaprote-

stował żywo dr. Eugeński. — Przeciwnie. — Przecież przed chwilą podkreśliłem dodatnie walory tej instytucji dla osobnika-milicjanta. Dodam, że mimo mego hiperkrytycyzmu, jakich dwa procent milicjantów, wypełnia swe obowiązki wzorowo, ściśle według regulaminu. Są to najczęściej byli żołnierze, ludzie z gminu. — I to zupełnie zrozumiałe. — Ten, kto przez szereg miesięcy wysiedział się na włoskim, lub francuskim froncie, dlatego jest zabawką jak najściślejsze patrolowanie w nocy, rewidowanie lub przytrzymywanie podejrzanych osób, rozbrajanie z rewolwerem w garści podchmielonych żołnierzy i t. d. Ale takich jest najwyżej dwa procent. Reszta jest w szeregach milicji obywatelskiej dla celów utylitarnych, tak jak ja, do czego wobec tak wysoce inteligentnego człowieka, jak pan nadradca szczerze przyznać się mogę...

„Wysoka inteligencja“ połechtała tak ujmująco pana nadradcę, że rzekł dobrotliwie:

— Rzeczywiście widzę wiele słuszności w pańskich bystrych wywodach, panie mecenasie. Dlatego, zdaniem mojem, należy milicję obywatelską jak najszybciej zdemokratyzować.

— Słusznie — przerwał złośliwie mecenas. — Tylko wtedy wydarzyć się może, że wszyscy ci, którymby przysługiwało prawo aresztowania innych, sami właściwie wszyscy zasługiwaliby na zaaresztowanie.

— Ależ...

Pan nadradca urwał nagle, zdetonowany i przelękniony. Ni stąd, ni zowąd, jak się nad-

radcy zdawało bardzo blisko, rozległy się strzały karabinowe.

— Co... to... jest?

— Znowu pukanina na froncie. Ale to kilka kilometrów stąd. Zdaje się, że blisko, bo wicher wieje w naszą stronę. Widać, że Ukraińcom zachciało się znów atakować. No, ale, acz siły nasze są słabe, spodziewać się należy, że nie przełamią naszego frontu. Chociaż i to zdarzyć się może. Mówił mi to poufnie jeden z wybitnych wojskowych. Wtedy ofiarą padliby wszyscy należący do milicji. Przejdźmy na drugą stronę ulicy panie nadradco, aby nas kamienice od strony strzałów zasłaniały. Zdarza się często, że kule aż tu donoszą. Przed kilku dniami jedna z takich kul raniła dosyć poważnie jednego z milicjantów naszej sekcji, podczas patrolowania.

— Bój się pan Boga! Niebezpiecznie?

— W zgięcie ręki, o ile wiem. Zdaje się będzie potrzeba amputować. Ale trudno, to jeden z tych dwóch procentów. Wszędzie był pierwszy. Narażał się bez sensu. Jakiś robociarz z elektrowni. Ale, ale, zagadaliśmy się i oto jestem już przy mojej kamienicy. Ściśle przy „mojej", gdyż jestem jej właścicielem. Mam jeszcze dwie kamieniczki prócz tego. Może pan nadradca zechce wstąpić do mnie na szklaneczkę gorącej herbatki?

Ale pan nadradca nie mógł jeszcze zwalczyć reszty skrupułów, rzekł więc uprzejmie, ale dość wyniośle:

— Dziękuję uprzejmie, nie mogę skorzystać. Obowiązek nie pozwala.

— No, tak, tak... Każdy z obywateli-milicjantów twierdzi podobnie z początku. Ale, gdy mu na dobre doje psia służba nocna, gdy go spotka jaka niemiła przygoda, a nawet kalectwo... Do widzenia panie nadradco. Za jakie pół godzinki zjawię się znów na ulicy, chodzi mi tylko o gorącą herbatę. Proszę tylko o dyskrecję. Proszę nawet nie wspominać na strażnicy, że wstępowałem do domu. Za dyskrecję, dyskrecją się odwdzięczę.

Wyjął klucz aluminjowy od bramy, otworzył ją jak najciszej i zniknął w czeluści ciemnej sieni.

*

Pan nadradca Drzączka pozostał sam.

Zrobiło mu się odrazu zgoła nieprzyjemnie. Wicher wzmógł się i rzucał całymi płatami śniegu w oczy panu nadradcy, tak, że kilka razy musiał je sobie przecierać niezgrabnie ręką ubraną w włóczkową podwójną rękawicę. Ale skutkiem tego rękawice niebawem zwilgotniały tak dalece, że pan nadradca odczuwał dokładnie tę wilgoć na swych rękach i drżąc z zimna uświadamiał sobie, że z pewnością czuć będzie po powrocie do domu bóle reumatyczne, które mu stale dokuczały, skoro się tylko trochę przeziębił.

— A to psie powietrze — mruknął — trzeba mieć prawdziwego pecha!

Ale złą aurę byłby pan nadradca jakoś przetrzymał mimo, że pod wpływem zimnego wichru, początkowo wilgotne palce rąk jego, sztywnieć i kostnieć poczęły, świadom był bowiem swych

obywatelskich obowiązków. Byłby narzekał, klął pocichu, ale przetrzymał. Ale ta strzelanina. Niebywale denerwował go nieustanny grzechot salw karabinowych. Zdawało mu się ciągle, że grzechot ów przybliża się doń coraz bardziej, że staje się coraz donioślejszy, co podług jego mniemania było najlepszym dowodem, że Ukraińcy napierają, a może nawet łamią front polski. W zdenerwowaniu i przelęku wyobrażał sobie pan nadradca Drzączka, że front ten już jest przełamany, że niebawem czerń ukraińska runie na miasto, a wtedy pierwszemi ofiarami ich zwierzęcej zemsty, będą obywatele-milicjanci. Tak przecie twierdził dr. Eugeński. A oto nadradca Drzączka jest właśnie milicjantem, ba, nawet pełni służbę z karabinem na ramieniu, w którem mu strzyka niemiłosiernie.

Niepokój pana nadradcy ugruntował i zmienił jego przypuszczenia w pewność jakiś pośpiesznie dążący w stronę miasta żołnierz w pełnem uzbrojeniu, który wyszedłszy nagle z za węgła i ujrzawszy pana nadradcę, rzucił doń pośpieszne pytanie:

— Obywatelu, którędy najbliższa droga do śródmieścia?

Pan nadradca Drzączka oprzytomniawszy po chwilowem zdrętwieniu, — w pierwszej bowiem chwili pewny był, że to jakiś bandyta chce się rzucić na całość jego osoby — pośpieszył z odpowiedzią:

— Tędy na prawo, szanowny panie obywatelu-żołnierzu. A potem prosto na dół. Ale, ale — odważył się na zapytanie — przepraszam, a co tam na froncie? Tak ciągle strzelają...

— Cholera ich wie. Nie jestem na samym froncie, tylko w rezerwie. Strzelają bo karaimy pchają się naprzód. Zdaje się, że komendant chce wzmocnić rezerwę i z pismem pchnął mnie do głównej kwatery, bo gdzieś, do choroby, telefon przerwało. Cześć.

Po tych słowach zaśnieżony żołnierz szparkim krokiem oddalił się w kierunku wskazanym przez pana nadradcę i niebawem znikł w tumanach śnieżycy.

— Rezerwę muszą wzmacniać — jęknął pan nadradca. — Widać jest źle, bardzo źle... Pewno front przerwali. Potem ruszą jak rozwścieczona lawina na rezerwę, rozniosą ją w puch. Tak w puch. A potem wpadną do miasta. A potem, potem...

Znowu ukazały się w dali jakieś dwie postacie ludzkie, zdążające uliczką wprost na pana nadradcę. Na ich widok, nadradcy Drzączce przyszły nagle na myśl przestrogi d-ra Eugeńskiego. Cofnął się chyłkiem do wejścia najbliższej kamienicy i wsiąknął w cień jej zamkniętej bramy.

Po chwili dwaj mężczyźni osypani śniegiem przeszli obok kryjówki pana nadradcy. Nie zauważyli go, ale pan nadradca z przerażeniem dosłyszał, że pocichu rozmawiają po rusku.

— Szpiedzy! — przebiegło mu błyskawicznie przez mózg.

Nagle zaczęło mu się wydawać, że otoczony jest nieprzyjaciółmi, czekającymi na całość jego osoby. Bardzo długo czekał drżąc w ukryciu bramy i dopiero wyglądnąwszy parę razy na ulicę, ośmielił się wyjść z ukrycia. Ale z ry-

cerskiego pana nadradcy, wybierającego się „na sam front", nic już nie pozostało. Jakby sam był szpiegiem lub podejrzanym łotrzykiem, szedł zwolna o ile możności jak najciszej, popod murami kamienic, ocierając się niemal o nie, by przy lada niebezpieczeństwie móc ukryć się w najbliższej bramie. A odgłosy strzałów wcale nie ucichały, przeciwnie, zdawało się panu nadradcy, że wzmagają się i zbliżają z sekundy na sekundę.

Mimo zmęczenia, mimo przemarznięcia, co chwila gorączość jakaś uderzała w rozgorączkowany fantazją mózg pana nadradcy. Czuł się strasznie zmęczony, nogi uginały się pod nim, opierał się co chwilę o któryś z murów i przystawał, a równocześnie mózg jego rozmyślał nad sposobami ratunku.

— Co robić, co robić, jeżeli za chwilę ukażą się Ukraińcy?

Najrozmaitsze sposoby na myśl mu przychodziły.

— Trzeba w razie niebezpieczeństwa natychmiast precz odrzucić karabin i opaskę milicjanta. Opaskę zaraz zdejmę. Strzegącego się Pan Bóg strzeże. Gdy się ukażą, powiem, że wracam z apteki... Że Hortensja, Fruzia dogorywa, dogorywa... Nie!... W to nie uwierzą i zamordują!...

Pan nadradca niemal fizycznie odczuwał ból tego mordowania. Widział, jak go pijani, ruscy chłopi chwytają, obalają na ziemię. Czuł śmiertelne pchnięcia jakichś zabójczych bagnetów i uderzenia kolb karabinowych w rozpryskującą się czaszkę i widział prawie rzeczywiście bucha-

jącę ciepłą, czerwoną krew z jego nadradcowskiej piersi na śnieżno-biały całun śniegu.

— W jaki sposób, w jaki sposób się ratować?

A znał on tych chłopów ukraińskich, znał dobrze. Znał ich dobrze z biura swego, bo nieraz rozkazywał woźnemu wyrzucać ich bez ceremonji za drzwi, gdy w biurze nachodzili go z pretensjami, że zbyt wysokie muszą rządowi płacić podatki, znał ich z miasteczek i wsi, bo jako arcylojalnego, namiestnictwo wysyłało go nieraz do pomocy któremuś ze starostów do przeprowadzenia wyborów w myśl c. k. rządu. Nieraz przypatrywał się chmurnym, z podełba rzucanym spojrzeniom tych chłopów, którzy zmuszeni zapowiedzią srogich kar, natychmiastową egzekucją, lub podwyżką podatków, głosowali tak, jak tego c. k. rząd wymagał, ale czynili to pod naporem nieodzownej konieczności.

Równocześnie przypomniał sobie o fakcie, który powtarzał się zawsze prawie bez zmiany, jeśli trzeba było kiedykolwiek przełamać upór chłopa ruskiego, zawsze się powoływał na rozkaz starosty-hofrata, a hofratem był każdy zasłużony „politycznie“ starosta i zawsze wtedy chłop ruski z rozczochranego łba pokornie zdejmował baranią czapkę, zginał się wpół i czynił tak, jak pan hofrat nakazywał. I nic dziwnego, wszak on sam, acz nadradca rachunkowy, dwa tygodnie temu jeszcze, na samo słowo: — „hofrat“ — uczuwał lekki ucisk w okolicy serca, podobnie jak lęk uczuwa poganin, gdy ktoś przy nim głośno wypowie imię wszechwładnego, mściwego bóstwa.

A gdy tak rozmyślał pan nadradca Drzączka, nad sposobami uratowania zagrożonego swego żywota, nagle myśl genjalna rozjaśniła jego posępny, skołatany mózg.

— O tak! Gdyby mnie chcieli zamordować, powiem im, że jestem hofratem. To ich przestraszy, przejedna...

Nowy, gwałtowny łomot strzałów, trwający kilka minut, przerwał gorączkowe rozmyślania pana nadradcy.

— Już front przerwany — jęknął pan nadradca. — Tak... Niezawodnie...

I ledwie żywy z lęku, drżąc cały, szczękając zębami, jak w febrze, pan nadradca Drzączka wcisnął się w ciemne wgłębienie bramy najbliższej kamienicy.

Naprzeciw kryjówki pana nadradcy, po drugiej stronie ulicy ciągnął się dość długi parkan, za nim zaś jakiś ogród widocznie, dostrzec bowiem można było poza tym parkanem zarysy drzew bielejących ośnieżeniem. A wtyle tego ogrodu, może zwrócony frontem do ulicy równoległej do tej, przy której w kamienicznej bramie pocił się i drżał na przemian z zimna i lęku pan nadradca, widać było jakiś piętrowy budynek, rysujący się niewyraźnie w mrokach nocy.

Nagle najpierw w jednem, a następnie w dwu jeszcze oknach parteru tego budynku, co widać było przez szczeliny parkanu, zabłysło światło. Niebawem doszedł do uszu pana nadradcy gwar jakichś zmieszanych głosów, na tle którego wybijały się donośniej pojedyńcze krzyki.

— Pewno Ukraińcy — zamajaczyło w mózgu pana nadradcy.

Nagle, gdzieś za tym parkanem, rozległ się warkot karabinu maszynowego.

Panu nadradcy Drzączce z przerażenia włosy stanęły dęba pod zaciśniętą głęboko na głowę czapką.

— Już, już... Wtargnęli... „Bombardują" miasto karabinem maszynowym... Jezus Marja!... Za sekundę tu będą...

A karabin maszynowy terkotał coraz zajadlej i głosy dochodzące z ogrodu stawały się coraz donioślejsze.

Pod panem nadradcą Drzączką ugięły się nogi, a on sam osunął się na próg bramy. Karabin zleciał mu z ramienia i upadł w śnieg, wargi jego dygotały z lęku, zęby uderzały o zęby, wytrzeszczył oczy i wtopił je w przeciwległy parkan, skąd nadejść miała doń męczeńska śmierć, równocześnie zaś niezgrabnie lewą ręką począł zdzierać z prawego ramienia milicyjną opaskę.

— Ach, ta opaska... Za sekundę będą już tu...

Warkot karabinu maszynowego to cichnął, to znów się rozlegał, a potem ucichnął nagle. Pan nadradca ujrzał, że z tego ogrodu ktoś gramoli się na parkan, wprost naprzeciw niego, by przedostać się na ulicę... Zimne dreszcze lodem poczęły stężać dygocące ciało pana nadradcy. W przerażeniu skulił się we dwoje i oczekiwał w trwodze śmierci. Drżąc, zamknął oczy, jakby w ten strusi sposób oddalał od siebie ostateczną chwilę męczeństwa.

I oto wytężony słuch jego usłyszał odgłos ciężkiego skoku z parkanu na ulicę, a potem kro-

ki zbliżające się wprost ku niemu... Nagle te kroki zatrzymały się tuż przy nim... Nadradca prawie czuł zimne ostrze żelaza, przebijające jego zimowe palto, surdut, kamizelkę, koszulę i jaegerowski kaftanik... i wtedy, chwytając się ostatniej deski ratunku, napoły leżąc, napoły klęcząc, zamknąwszy oczy, począł szlochając jęczeć żałośliwie:

— Po — my — łuj hof — rata! Po — my-łuj! Hof — ra — ta po — my — łuj!...

Cisza... Potem jakieś światło uderzyło w zamknięte oczy pana nadradcy i jakaś zbójecka ręka poczęła targać ramieniem pana nadradcy.

— Po — my — łuj hof — rata! Po — my-łuj...

Nagle *pan nadradca Drzączka usłyszał tuż* nad uchem wesoły śmiech i prawie dziecinny jeszcze, niepomiernie zdziwiony głos:

— Tato?!... Co tato tu robi?...

Powoli, nie wierząc *samemu sobie, pan nad*radca otwierać począł oczy...

Tuż przy nim stał pochylony nad nim syn jego Felek, wlepiający weń zdziwione oczy i świecący w twarz jego ręczną latarką.

— Co tato tu robi? — powtarzał.

— Sł — a — bo mi, — bełkotał wpółprzytomny pan nadradca Drzączka. — Ten ka — ra — bin ma — szy — no...

— Karabin maszynowy? — Aha, zląkł się tato... Ależ, to myśmy go przed godziną przytaskali z frontu, do naprawy... Tam za parkanem warsztat wojskowy... Zacinał się, bestja, co chwilę, zamiast strzelać... a koniecznie nam jest

potrzebny, bo karaimy napierają kupą... Ale już naprawiony... Właśnie próbowaliśmy ślepymi patronami... Ale co tato tu po nocy robi?

— Służ — ba. Sła — bo mi się zro — bi — ło...

Felek dopiero teraz ujrzał karabin pana nadradcy napoły już przysypany śniegiem... Domyślił się powodu „zasłabnięcia" ojca... Parsknął rozgłośnie śmiechem a potem rzekł:

— Ładnie to, karabin gdzieindziej, a milicjant gdzieindziej... Niech tato wstaje... Właśnie wyrwałem się kolegom na chwilę, aby wpaść do domu, porwać co od mamy do zjedzenia, bom głodny, jak pies, — a niedługo trzeba z karabinem maszynowym wracać do naszych... O, damy my im łupnia!...

Wesołość i beztroska Felka oprzytomniły pana nadradcę Drzączkę. Wstał, wyprostował się, wziął karabin z rąk chłopca i niezgrabnie zarzucił go na ramię.

— Chodźmy do domu? — nalegał Felek.

Pan nadradca Drzączka zastanawiał się... Nie, do domu iść nie może, na strażnicy śmianoby się z niego, że tak rozpoczął swą służbę milicyjną... Nie, to niemożliwe...

— Muszę wracać na strażnicę...

— Co robić, — westchnął Felek. — Odprowadzę tatę... Może tam u was w milicji dadzą żołnierzowi pajdę chleba?...

Ruszył szparko przodem. Pan nadradca szedł parę kroków wtyle za gimnazjalistą i znów rozmyślał, co łatwiej mu szło, gdyż trwoga go opuściła.

— Felek — zawołał nagle.

— Co takiego?

— Tylko ty, panie tego, smyku jakiś... wiesz, na strażnicy nie mów.. że, panie tego...

— Niech tato się nie boi. Przecież także wiem, co honor domu... Już ja im powiem, co należy...

Po dwudziestu minutach pan nadradca Drzączka i Felek dotarli do strażnicy. Oczekiwano tu pana nadradcy Drzączki z niepokojem, nikt bowiem nie wiedział, *co się z nim stało.*

Gdy pan nadradca, cały ośnieżony, drzwi otworzył, naczelnik Giętkoszyjski z krzykiem radości podskoczył do niego:

— Panie nadradco dobrodzieju... Chwała Bogu, że pan nadradca jest... Sądziłem, że jakiś nieszczęśliwy wypadek...

— Nie, nie, panie tego, tylko...

Z poza pleców pana nadradcy wysunął się czupurny Felek.

— Tato, patrolując, spotkał mnie, gdy szedłem na front i poszedł ze mną przekonać się, jak sprawy stoją... Ponieważ przysłano nas kilku z frontu z karabinem maszynowym do naprawy, więc tato wrócił z nami...

— Kawaler jest na froncie? — zapytał pan Bombowski.

— Od samego początku — rzucił wyniośle Felek. — Jeżeli starsi, choć silni i zdrowi, kisną w domu, my musimy być na froncie... I miasta nie damy, nie...

Pan Bombowski cofnął się zawstydzony, pan nadradca Drzączka zaś rzekł z zupełną pewnością siebie:

— Tak... Chciałem się osobiście przekonać... Dlatego, panie tego...

Obywatel Bombowski wysunął się znów naprzód.

— Panie nadradco... Musiał pan w czystem polu fest przemarznąć, bo dziś tam dmie, że psia krew... Może pozwoli pan kapinkę wódeczności... i kawaler też...

Mówiąc to, podał panu nadradcy płaską flaszkę.

— Dziękuję obywatelowi za przyjazną troskliwość — rzekł w miarę demokratycznie pan nadradca Drzączka. — Przemarzłem oczywiście...

Powoli podniósł do ust flaszkę i pociągnął z niej porządnie dwa hausty. Po nim zrobił to samo jak najśpieszniej Felek.

— Panie nadradco dobrodzieju, w tej chwileczce przyrządzę na spirytusie gorącą herbatkę — rzekł pośpiesznie naczelnik Giętkoszyjski. — Takie przemarznięcie może zaszkodzić cennemu zdrowiu pana nadradcy...

— Jeśli obywatel przyjąć zechce, — wtrącił rewident Pronajko, — mogę również służyć... Mam z sobą chleb, trochę szyneczki i masełko... Może pan nadradca i dzielny synek, obrońca miasta...

Przez pół godziny pan nadradca Drzączka tyle opowiedział swym towarzyszom - milicjantom o tem, co widział na froncie, że wkońcu sam prawie uwierzył w to, iż był na nim rzeczywiście. Ponieważ zaś „pływać" umiał, a Felek, dobrze podjadłszy, ruszył do swego karabinu maszynowego i nie mógł opowiadania ojca

korygować, przeto opowiadanie po kilku szklankach gorącej herbaty szło panu nadradcy jak po maśle.

Świt poranka rozjaśniać począł już szyby strażnicy milicyjnej. Pan nadradca Drzączka spojrzał na zegarek i rzekł:

— Już pół do szóstej rano... Panowie, obywatele, zaiste miło wrócić w zacisze domowe po dokładnem spełnieniu obywatelskiego obowiązku... Gdy wszyscy go spełniać będziemy jak należy, panowie, obywatele, wówczas, panowie...

KONIEC.

LWÓW w 1918 r.

Stoję wśród wrogów, jako rycerz hardy
postawion na widecie dziejów rozkazaniem,
silny wiernem ziemicy polskiej ukochaniem,
dla wrogów miecz mam jeno i uśmiech pogardy.

Od wieków biły we mnie przemocy oskardy,
lecz nigdym się trwożliwem nie bawił pytaniem
i zawszem cios odpierał ramieniem tytaniem,
że musiał wróg się cofać, wróg najbardziej
twardy — —

Więc i dziś, gdy dzicz huczy wokół mnie zagładą,
przeciw niej w bój wysyłam moje drobne Lwięta
których dzielność ćma wraża dobrze popamięta.

Cofnie się okrwawiona, z twarzą lękiem bladą,
rozbiwszy się na strzępy o me stalne bramy,
przy których Lwięta krzykną jej: — Lwowa
nie damy! —

ADAMA STODORA

wyszły osobno:

Adoracja". Poezje. Wyd. I. Lwów, 1899. Wyd. II. Stanisławów, 1905.

„Z cichych tragedji". Nowele. Lwów, 1904.

„Atlantyda". Fantazja liryczna. Lwów, 1904.

„Drobne poezje K. Brodzińskiego do 1818 r." Szkic. Stanisławów, 1905.

„Jawnogrzesznica". Poemat. Stanisławów, 1905.

„Jan Kasprowicz". Szkic. Złoczów, 1905.

„Con dolore". Poezje. Stanisławów, 1906.

„Ślubna obrączka". Nowelety. Stanisławów, 1906.

„Złocista góra". Poemat dramatyczny. Brody, 1907.

„Kapłani sztuki". Satyra w 1-ym akcie. Stanisławów, 1908.

„Wyspiański". Objaśnienia utworów. Trzy tomiki. Tarnopol, 1909—10.

„Joanna Grudzińska". Epizod dramatyczny w 1-ym akcie. Stanisławów, 1910.

„Makryna Mieczysławska". Szkic. Stanisławów, 1910.

„Pan Tadeusz" Mickiewicza. Uwagi. Stanisławów, 1910.

„Rzecz o „Róży" Katerli". Garść uwag. Stanisławów, 1911.

„W walce o słońce". Poezje. Lwów, 1912.

„Zaglądnąć w dusze polskie..." Garść wierszy. Lwów, 1913.

„Krasomówstwo". Lwów, 1914.

„Marja Bartusówna". Szkic. Lwów, 1914.

„Siwe czorty". Nowela wierszem. Cieszyn, 1915.

„Opowieści wojenne". Lwów, 1917.

„Kościuszko w Sosnowicy". Dwie odsłony. Lwów, 1917.

„Czarna ściana". Nowela. Poznań, 1921.

„Ścieżyną prostoty". Poezje. Poznań, 1922.

PRZEKŁADY

Verlaine: „Księga mądrości". Stanisławów, 1906.
Dolorosa: „Confirmo te chrismate". Stanisławów, 1907.
Hauptmann G.: „Budnik Thiel". Stanisławów, 1907.
Wedekind Frank: „Szlakami Erosa". Stanisławów, 1908.
Holtei Karol: „Stary wódz". Lwów, 1917.
Ewers H. H.: „Opętani". Lwów, 1918.
Ewers H. H.: „Oblubienica Tofaru". Lwów, 1919.
Strobl K.: „Grobowiec na Père Lachaise". Przemyśl, 1925.
Stein L.: „Pierścień sobowtóra". Przemyśl, 1925.
Elvestad S.: „Kobieta-szatan". Lwów, 1926.
Ibsen H.: „Grób Hunów". Złoczów, 1926.
Ibsen H.: „Uroczystość na Solhangu". Złoczów, 1926.
Hauptmann G.: „Fantom". Powieść. Warszawa, 1926.

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

jest wydawnictwem
książkowem,
które
powinno się znajdować
w każdym
kulturalnym
polskim domu.

PRENUMERATA

jest najwygodniejszym sposobem systematycznego zaopatrywania się w książki i stałego kontaktu z bieżącym ruchem kulturalno-literackim.

—□—

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

wydaje w prenumeracie dwa wydania

1) Wydanie luksusowe kwartalnie zł. 9.90
2) „ zwykłe „ „ 6.50

za 9 tomów najwybitniejszych i najciekawszych powieści świata.

—□—

Prenumerata z przesyłką do domu.

List zwrotny.

Niniejszem zamawiam, od bieżącego kwartału począwszy, książki Bibljoteki Domu Polskiego w $\frac{\text{wyd. luks.}}{\text{wyd. zwyk.}}$ Należność w kwocie zł. $\frac{9.90}{6.50}$ wpłaciłem równocześnie na Ich konto w P. K. O. Nr 9779 — w urzędzie pocztowym

Jednocześnie zamawiam komplet złożony z..... książek uprzednio przez B. D. P. wydanych, a figurujących w katalogu B. D. P. pod Nr. Nr. .....

.....

Należność za powyższe, licząc po 70 groszy za tom, w sumie zł. .....
wpłacam na konto P. K. O. Nr. 9779 — proszę pobrać za zaliczeniem.

Podpis

Imię .....

Nazwisko .....

Adres .....

Poczta .....

Odciąć i wysłać ze znaczkiem za 5 groszy.

Do

Bibljoteki Domu Polskiego

w Warszawie

ul. Chmielna 61.

Biblioteka Wydz. Artes. Polit. im. F. Dzierżyńskiego

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP

13475

1